

ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok II

Kraków, dnia 8 kwietnia 1945 r.

Nr. 19

MARCELINA GRABOWSKA

Geneza powstania warszawskiego

Trzeba rozdrapywać rany niewoli, aby się nie zabiłymi błoną podłości. St. Zeromski

Powstanie warszawskie jest faktem historycznie świeżym. Analizę jego — poza brakiem dostatecznego materiału — utrudnia to, że oparte o żywiołowy poryw narodu stało się bliskie sercu wielu Polaków, jako widomy przejaw konspiracyjnej pracy, choć było jej załamaniem i bankructwem.

Jeśli mimo to staramy się odsonić w tej chwili jego ukryte źródło to dlatego, że wyjaśnienie szeregu zagadnień ma doniosłe, aktualne znaczenie. Tylko wydobycie na jaw zbrodni i błędów może uchronić nasz dalszy rozwój od błędzenia po manowcach historii. Ogień, który zniszczył Warszawę, musi być ogniem oczyszczenia. Nieszczęście powstania warszawskiego zmniejszy się znacznie, jeśli w tym oczyszczającym ogniu spalą się wpływy narodowych zbrodniarzy i błędy tych, co do tej zbrodni dopuścili nieświadomie.

KTO WYWOŁAŁ POWSTANIE?

Powstanie, jako punkt przełomowy życia podziemnego, jest najciemniejszym a zarazem najbardziej ciemnym jego etapem. Przebieg powstania znany jest z licznych opowiadań, drukowanych już w okresie okupacji. Ale zarówno naoczni świadkowie jak i ci, którzy na podstawie opowiadań starali się wyrobić sobie jasny pogląd na sprawę powstania, nie oświetlili zagadnień istotnych. Pytania: kto wywołał powstanie i dlaczego ono w swoim przebiegu wykazało tyle nieudolności i bezsilności — pozostały bez odpowiedzi, mimo że zadawane są często i przez szeroki ogół.

A przecie są to sprawy, które muszą zostać wyjaśnione. Naród ma prawo wiedzieć, kto się przyczynił do załamania sił konspiracyjnych, zmarnował dorobek wieloletniej pracy w najcięższych warunkach, spowodował zniszczenie stolicy, nędzę i tułaczkę setek tysięcy ludzi.

Do ciągnięcia korzyści ze zwycięstwa zgłoszono się wielu, do odpowiedzialności za klęskę — nikt. Wybuch powstania propagandą niemiecką i reakcyjną przypisywała „agentom sowieckim“, którzy jakoby dążyli do „ujawnienia sił konspiracji“. W szerokiej opinii nierzadkie są głosy, które uważają, że powstanie było aktem prowokacji niemieckiej, przedsięwziętym dla rozbrojenia konspiracji i zniszczenia narodu. Wszystkie te oskarżenia i poglądy są fałszywe i błędne. Ani powstanie nie ujawniło sił konspiracji — były one dużo większe niż zmobilizowane w chwili wybuchu — ani nie leżało w interesie Niemiec, które w momencie wybuchu powstania ogromnym wysiłkiem starały się przeciwstawić wielkiej ofensywie Armii Czerwonej. Zarówno przyczyn wybuchu powstania, jak i jego sprawców, należy szukać w polskiej rzeczywistości politycznej. A choć nie zgłaszają się sami, choć pawet zacieraają za sobą ślady, choć pochopnie umywiają ręce — fakty mówią zbyt głośno, wskazują dość wyraźnie kim są ci, którzy wzięli na siebie tę wielką odpowiedzialność.

POLITYCZNE PODŁOŻE POWSTANIA

W konspiracji istniała wielka liczba partii i organizacji. Szeroki ogół inteligencji, niezorientowany w rozproszonych odtamach, odwracał się często zniechęcony od polityki, a chcąc spełnić swój obowiązek wobec okupowanej ojczyzny, zwracał się do „czystej wojskówek“. Za taką było uważane P. Z. P. (Polski Związek Powstańczy), późniejsze AK.

Tymczasem AK naprawdę „czystą wojskówką“ nie było. Nie należy zapominać, że sztab AK pozostawał w rękach oficerów zawodowych, rekrutujących się z grona sanacji lub jej zwolenników. Reżym sanacyjny bowiem uczynił ze sfer wojskowych warstwę uprzywilejowaną i nawet w okresie najcięższego kryzysu bronił jej uprzywilejowanego bytu.

Wobec tego AK, budowane w pojęciu ogółu na podstawach patriotycznych, w rzeczywistości stało się atutem sanacji i jedną z najważniejszych możliwości jej powrotu do władzy. Poprzez AK znieawidzona powszechnie sanacja sięgała głęboko w siły narodu i zdobywała zamaskowany dostęp do mas, utracony na skutek rządów dowrzesniowych.

Dostęp ten był tak zamaskowany, że wielu ludzi do dziś dnia nie zdaje sobie sprawy z właściwego charakteru AK, chociaż wiele faktów w okresie konspiracji sprawę tę należy wyjaśnić.

Zamaskowanie było konieczne ze względu na zrozumiałą niechęć narodu do sanacji. Do zbrodni politycznych, popełnionych w czasie dowojennym, doszła ostateczna kompromitacja na początku wojny polsko-niemieckiej. Mimo politycznego rozproszkowania konspiracji, na tym jednym punkcie wszyscy byli ze sobą zgodni: sanacja nie może wrócić! Tak myślała olbrzymia większość narodu.

Sanacja wiedziała o tym doskonale, ale z powrotu bynajmniej nie zrezygnowała. Pozbawiona skrupułów, nie przebiegająca w środkach, nie traciła nadziei, że pokona wszelkie przeszkody. Za broń służyła jej przede wszystkim wieloletnia praktyka przenikania we wszystkie ośrodki polityczne. Ale sięgnęła też po inne atuty.

Kiedy Matuszewski, Koc i towarzysze znaleźli się na emigracji w Londynie, zostali od razu przez Sikorskiego odcięci od możliwości odegrania poważniejszej roli. Wyjechali więc do Ameryki, aby wobec rodaków, słabo obeznanych z polską rzeczywistością, odegrać rolę apostołów „rzetelnego patriotyzmu“. Udało im się to w znacznej mierze. Zdobyli poważną pozycję na terenie Polonii amerykańskiej, podporządkowawszy swoim wpływom prezesa Polonii Światlika. Kongres Polonii w Filadelfii w lecie ubiegłego roku pokazał, jak znaczne są jeszcze wpływy sanacji. Sanacja potrafiła przeprowadzić na kongresie swój program.

Najważniejszą jednak sprawą po śmierci Sikorskiego była osoba jego następcy. Sosnkowski, naczelny wódz armii emigracyjnej na zachodzie, zastępca prezydenta, stał się sztandarową postacią sanacji. Z sanacji wyrósł i w niej szukał oparcia.

Te trzy ośrodki: sztab AK, Polonia amerykańska i Sosnkowski — to podstawy działalności sanacyjnej. Nie dawały jej one jednak dostatecznej gwarancji zwycięstwa. Wobec tego sanacja sięgnęła po inne jeszcze oparcie dla swoich zabiegów: młodzież. Nie mając do niej dostępu bezpośrednio, na skutek polityki przedwojennej, działała na nią przez AK, a także nawiązała kontakt z najaktywniejszą częścią młodzieży reakcyjnej — NSZ („Narodowymi Siłami Zbrojnymi“).

Nawiązanie kontaktu było rzeczą tym łatwiejszą, że w NSZ grupowała się młodzież o ideologii faszystowskiej, a więc bliskiej programowi sanacyjnego. Moment połączenia AK z NSZ ujawnił — jak żaden inny — faszystowsko-sanacyjne oblicze AK. Ani Bataliony Chłopskie, ani inne organizacje o odzieniu demokratycznym, nie doznały przystępując do AK tak serdecznego przyjęcia, jak faszystowskie NSZ. Specjalny rozkaz Bora w „Biuletynie Informacyjnym“ uczcił „radosną chwilę“ połączenia AK z „wartościowym wkładem obywatelskim i ideowym“ (słowa rozkazu), wniesionym przez odłam oenerowsko-eńdecki.

Poza manewrami politycznymi nie zaniebawiała sanacja starej metody zabiegania o względy społeczeństwa środkami natury materialnej. Ulatwił jej nieświadomie działalność zdecydowany jej przeciwnik gen. Sikorski przez podporządkowanie na początku konspiracji czynnika politycznego (delegat rządu) czynnikowi wojskowemu. Kiedy się zorientował w sytuacji, było już za późno. Zarządzenie mające zmienić porządek rzeczy nie zmieniło już faktów. Sanacja opanowała podziemne życie. Pieniądże z Londynu przepływały przede wszystkim przez ręce sanacji, która też zdążyła opanować wszystkie poważniejsze placówki pracy społecznej, jak RGO itp.

Sanacji mało zależało na walce z Niemcami. Uwzględniała ją tylko o tyle, ile trzeba było, by zadowolić nienawiść narodu, zapal do walki i by nie zdemaskować swych istotnych zamysłów. Właściwym celem sanacji było zachować siły do opanowania władzy i odpowiedniego urobienia opinii publicznej. Tym się tłumaczy znane hasło „stania z bronią u nogi“, stąd największa aktywność wykazana przy wyznaczaniu kierowników przyszłej administracji (województw, starostów i ważniejszych urzędników).

Kłęska Niemiec rysowała się coraz wyraźniej. Co w AK było patriotycznego i aktywnego rwało się do czynu, coraz trudniej było utrzymać zasadę stania z bronią u nogi, zwłaszcza wobec rosnącego terroru niemieckiego i rozgoryczenia w narodzie. I oto konsekwencja historyczna okazuje się silniejsza od rachuby sanacyjnej. Sanacji wysuwa się z rąk jeden atut polityczny po drugim. Sosnkowski traci stanowisko zastępcy prezydenta, zagrożone też jest jego naczelne dowództwo. Procesy przeciw „dezertorom“ ukraińskim i żydowskim z armii polskiej w Anglii, wreszcie procesy przeciw polskim oficerom o postawie demokratycznej w Palestynie, rozwijająca się opozycja polityczna na terenie Anglii — podminowują jego stanowisko do reszty.

Światlikowa Polonia, to wypieszczone dziecko sanacji, przeżywa swoje gorzkie fiasko. Sprawa linii Curzona, poruszona przez

kongres filadelfijski, nie doczekała się odpowiedzi od Roosevelta. Coraz głośniejsze było natomiast o podróży prof. Langego i ks. Orlemańskiego do Moskwy, o ich wizycie, złożonej Pierwszej Armii Polskiej w ZSRR. Ich relacje znajdują żywy oddźwięk w społeczeństwie polskim; obelgi i wymysły, jakimi obrzuca ich prasa sanacyjna w kraju, uzmysławiają nam, jak bolesne i niespodziane było dla niej uderzenie z tej strony. Niewymyślne ataki sanacji (Lange zostaje mianowany „volksdeutchem“) nie zmieniają faktu, że przez wizytę Langego została zdemaskowana w Ameryce kłamliwa propaganda sanacyjna: stwierdzenie patriotycznego charakteru Wojska Polskiego w Związku Radzieckim stanowiło żywy dowód swobody, w jakiej to wojsko formowało się i rozwijało.

Mikołajczyk przyjeżdża do Waszyngtonu. Po konferencji z Rooseveltem i niewątpliwie pod wpływem pewnych sugestji, zaznajamia się ze stosunkami w Ameryce nie przez Światlika, ale przez Langego i to do reszty podważa akcje sanacyjne na terenie Polonii amerykańskiej.

Wreszcie w samym kraju NSZ, witane tak entuzjastycznie przez władze AK, rozpoczyna serię mordów w polskich wsiach i wydaje robotników polskich w ręce gestapo. Młody element oenerowski otwarcie manifestuje swoje dążenia, niebacznym, że odsłaniając karty przed czasem, osłabia szanse zwycięstwa — własne i protektorów.

W dodatku odzywają się głosy, demaskujące do reszty działalność AK przez ujawnienie zatajonych do niedawna szczegółów. „Wies“, agencja informacyjna Stronnictwa Ludowego, skarży się na to, że czynniki przyjmujące oddziały wojskowe Stronnictwa (Bataliony Chłopskie) rozbijają wartościowe jednostki, narzucają oddziałom własnych oficerów, brutalnym, bezwzględnym traktowaniem rozgoryczają ludzi, rodzą poczucie krzywdy i bunt. To samo podnoszą inne organizacje demokratyczne współpracujące dotąd z AK. Przez kontrast z czułym traktowaniem młodzieńszkowską z NSZ ujawnia się coraz wyraźniej polityczny charakter AK.

To samo Stronnictwo Ludowe, które pierwsze uderzyło na alarm, zaczyna w prasie ujawniać inne machinacje sanacyjne. Pokazuje się, że mimo istnienia czterech stronnictw jako oficjalnej reprezentacji politycznej „Londynu“, przygotowywana obsada administracyjna uwolnionych ziem wyraźnie uwzględnia tylko ludzi z jednego odtamu: sanacji.

Fakty mnożą się, dowody są niezbit. Nie mogą ich już przysłonić frazesy o patriotyzmie, ani o bezpartyjności zbrojnego czynu. Oszukiwane społeczeństwo dostrzega oszustwo. Staje się rzeczą bezsporną i powszechnie jawną, że sanacja, której zdecydowany głos narodu nie pozwala wrócić do wpływów, przygotowuje się nie tylko do powrotu, ale nawet do natychmiastowego objęcia władzy.

Skutki nie dają na siebie długo czekać. AK zaczyna tracić najwartościowsze elementy na rzecz AL. Sosnkowski lada dzień może stracić dowództwo. Polonia amerykańska zawiodła. NSZ wyłamuje się spod dyscypliny. Bardziej świadome elementy AK stawiają opór politycznej akcji sanacyjnego dowództwa. W dodatku rozbita dotąd demokracja zaczyna się jednoczyć w rosnącą siłę, godzącą w odsłonięte sanacyjne plany. Czas pracuje przeciw sanacji. Burzy jej wieloletnie zabiegi. Pozostaje już tylko działanie, i to szybkie. Sanacja, tracąc jeden za drugim przygotowane atuty zwycięstwa, sięga po ostatni: inicjatywę powstania i urządza się tak, aby ta inicjatywa znalazła się wyłącznie w jej rękach. Włączona wbrew wszystkim w aparat konspiracyjny, wydaje rozkaz i zaskakuje nim zarówno naszych sojuszników, jak też polskie władze konspiracyjne.



Rynek Starego Miasta w Warszawie

KAZIMIERZ BRANDYS

Rozsądek cywilny

Wojna przetoczyła się przez nas w kilku nawrotach. Doznaliśmy w ciągu tych lat klęsk nie tylko militarnych i nie wszystko zło, które się działo, było cudzą winą. Rzecz w tym, że w równej mierze nie starczyło nam sił jak rozsądku. Ci spośród nas, którzy chcieli walczyć, musieli walczyć na dwóch frontach: z obcym najeźdźcą i z krajowym nierozumem. Zostaliśmy oswobodzeni od okupanta, ale drugi nieprzyjaciel jest jeszcze między nami i kto wie co mu w głowie powstanie. Wolność to wielka rzecz, ale z wolności trzeba się wywiązać. Tym bardziej, gdy się ją zdobywa „nie swoim cudem”. Było u nas dużo odwagi wojennej, przyjdzie czas, by wykazać odwagę cywilną. Dlatego pokój będzie dla nas może cięższą próbą, niż pięć czy sześć lat wojny.

Po piekle powstania, po smutnym pejzażu warszawskim — Planty zapachniały nam czymś więcej niż wiosną. W tym mieście wojna przestała być prawdą. Powitaliśmy Kraków jak zawieszenie broni po pięciu zimach warszawskich. Niejedni, na Plantach, w wiosennym słońcu wspominają huk dział nad Wisłą i Narwią w trybie przeszłym Marne czy Verdun.

Są czasy, w których nie ma odpoczynku. Żyjemy w takim czasie. Wielką przeszłość jest sprawą zaszczyną, ale trzeba umieć ją potwierdzić w dziełach teraźniejszych, bo świadomość, że się dało światu Chopina, trzech wieszczów i Skłodowską, może łatwo stać się satysfakcją wyłączną prywatną, jeśli nie uczyni się wszystkim, aby Mickiewicz, Chopin czy Kopernik mogli urodzić się powtórnie na tej samej ziemi.

W tym celu prócz szkół, wystaw, koncertów i książek, prócz turbin i energii elektrycznej potrzebna jest umiejętność, której nie potrafię nazwać inaczej, jak zmysłem ciągłości i przewidywania. Narod słaby czy silny, wielki lub niewielki, bywa narażony na kryzysy w swoim trwaniu. Równowaga nie jest zaletą naszego wieku, ani kraju, w którym żyjemy. Żyjemy w kraju katastrof, z których niejednej można było uniknąć, gdyby nie pochopność do kataklizmów własnego pomysłu. Stolicę straciliśmy w ciągu dwóch miesięcy i treści niematerialnej, która z nią przepadła, nie odzyskamy nigdy. Kamienie na Kruczej da się odbudować, ale spalonych cymeliów biblioteki Krasieńskich żaden cud nie wskrzesi.

Rzecz więc w tym, że zawsze, o każdej godzinie, w powodzeniu i w biedzie — należy pamiętać nie tylko o tym, co można zyskać i wygrać, ale i o tym, co łatwo przegrać i utracić. Trzeba znać i szanować bogactwo ziemi, po której się stąpa. Postać ziemianina, który jesienne zbiory trwonił w zimowym sezonie, ma swojskie proveniencje. Polska zbyt długo była ziemią, zdana na lekkomyślnych dzierżawców. Trzeba czerpać naukę z wielkich dzieł tych dni, które są epoką spełniania obowiązków. Lud radziecki dał czołgi radzieckiej armii, która chciała bronić bogactw radzieckiej ziemi. Przygotować wojnę a przygotować się do wojny — to dwie różne sprawy. Przygotować się do wojny — znaczy dać narodowi możliwość trwania bez zapasów, bez rujnujących załamań. Czołgi bronią muzeów i szkół, nie tylko pieszych dywizji, bombowce służą nie tylko sztabom armii, ale i tym, co sieją, orzą, uczą i malują. Życie narodu powinno być wolne od paroksyzmów, trzeba umieć przewidzieć i wyprzedzić potrzeby tego organizmu, który w pewnych momentach wymaga stali, w innych tłuszczów lub kaloszy. Należy umiejętnie i roztropnie wprowadzać naród w okres groźących burz, koncentrować odporność materialną i duchową. Kogo wojna zastała przy stoliku w kawiarni, ten łatwo padał jej ofiarą. Wielu z nas z hukami pierwszych pocisków ujrzało przepaść rozwartą u stóp. Spokaliśmy wojnę w stanie bezbronności i urojen. Nikt nie przygotował nam gruntu i nie wytyczył dróg, szlak na Zaleszczyki był jedyńm szlakiem, na którym dzierżawcy zagrożonej ziemi szukali ocalenia.

Może być rzeczą wątpliwą, jak spełniliśmy nasze obowiązki wojny, ale jest rzeczą pewną, że zbliża się czas, aby zdać egzamin pokój. I tylko w tym świetle można uznać owe armistycjum, zawarte na Plantach. Musimy szokować muzea, szkoły, książki i teatry dla żołnierzy, którzy wrócą z frontu, bo jeśli no raz drugi spotka ich zawód i nie dostaną do ręki narzędzi pokoju, jak nie dostali przed sześciu laty instrumentów wojny, wraz z nimi powtórnie wpadniemy w otchłań, z której tym razem żadna pomoc nas nie wydobędzie.

To jedno. Po drugie powinniśmy szokować pisane dzieje tych chwil, które dotychczas miały najwyższe prywatnych dziejopisów. Zmysł ciągłości, zmysł zachowania dóbr jest konieczną cechą narodu, który chce trwać w czasie. Wojna przewalała się przez nas w tysiącach aspektów, nie mamy właściwej perspektywy teraźniejszości, jakakolwiek synteza jest nieosiągalna. Jedno co możemy uczynić, to zbierać, kleić, składać, kawałek po kawałku, miesiąc do miesiąca, gromadzić, skupiać dokumenty tych lat, w których ży-

liśmy bez książek, archiwów, bibliotek. W tych czasach, w których tak często byliśmy samotni, zrodził się w nas jakiś instynkt chomika — gromadzenia zapasów, chowania produktów w skrytkach do czasu wolności. Przyszłość — oto czym żyliśmy najżywiej. Zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że nawet jeśli skończy się nasze życie, to z nim nie skończy się wszystko; nauczyliśmy się szacunku dla całości, której jesteśmy molekułą i dla czasu, którego jesteśmy fragmentem. To, co zostało stworzone podczas tych paru lat wojennych, na pewno nie było tworzone z myślą o doraźnej sławie lub szybkim zysku. Zaczynając zdanie, nie można było mieć pewności, czy starczy życia, aby je zakończyć, każda chwila mogła być ostatnią, każdy zamiar mógł być niespełniony. Ale wbrew temu powstały wiersze, rozprawy, esy, powieści. Świadomie czy nieświadomie wyko-

ZOFIA NAŁKOWSKA

WĘZŁY ŻYCIA*

To było jedno widmo tego wieczoru — Oxeński. Drugie czekało już z boku swojej koleji, chcąc ze swej strony też być wspomniane i rozważone.

Ale o nim, o Jasiu Zołnie, wzdrygała się myśleć. Tkwił głębiej w czasie, był dawniejszy. Wywodził się z zamierzchłej młodości, gdy Kasia i Tekla były małe. Ten był naprawdę winą jej wobec męża, to było zdradą. Nie wtedy, gdy w Krakowie chodzili rozmazani na Błonia i na szosę za Śalwatorem, niepewni i zdziwieni, nie podejrzewający w sobie winy, nie śmiać ważyć się na inne szczęście. Ale później, gdy tyle się zmieniło. Przywoził wtedy na wieś wykopane z ziemi, zardzewiałe „spławy”, czyścił je i oliwił przy stole jadalnym pod natową wiszącą lampą, w towarzystwie psów, kotów i dzieci, o każdej chwili wystawiając siebie i cały ten mały rodzinny dom na zgnęb. I śpiewał przy tym łagodnym tenorem tę niezapomnianą, ludową piosenkę, od której przelewał się do dziś w Agacie wstrząs rozkoszy.

Tam na polu szyszki,
Na polu kamyszki,
Za stodołą buczyna, bu-czy-na...
Na kominie popiół,
— Daj mi Jasiu spokój,
Bom ja biedna dziewczyna, dziewczyna-na...

A jak pójdziesz orać,
To mnie przyjdź zawołać,
Pomogę ci zaganiać, za-ga-niać...
Jak zorzemy zagon,
To pójdziemy do dom,
Będziemy się namawiać, na-ma-wiać...

Jak się namówimy,
To się pobierzemy,
Będziemy się szanować, sza-no-wać...

Tak, nie chciała pamiętać, że pomagała mu w tej robocie, nauczyła się składać i rozkładać broń, nauczyła się na zawsze tej piosenki. Tu nie oskarżała nikogo, tylko siebie — a jej wina nie kończyła się na niej. Zmieniła przez nią naturę rzeczy koło siebie, zmieniła relacje ludzi, poprzesuwała wzajemne ich miejsca, skazała ich na życie w niewiedzy. Nawet on, Zołna, nie domyślił się, jak było naprawdę. I kiedy odszedł po tej krótkiej gorącej miłości, nie dowiedział się nigdy, kim był wobec niej i wobec jej najbliższych.

Długo myślała, że resztę życia odda na odciernienie tej winy, której żadną skruchą, żadnym ślubowaniem już na wieki nie mogła naprawić.

Koleje wojny ułatwiły tę sprawę, pozwoliły, że została sama ze swoją tajemnicą. Jednak trwoga leżała na przedłużeniu każdej myśli, trwoga, że kiedyś, w jakiś sposób straszliwy wróci do niej ta rzecz.

Przez wiele lat myślała, że z tego nigdy się już nie podźwignie. Aż znacznie później, w Paryżu, nadszała na nią jej druga, ostatnia młodość.

Agata urodziła już wtedy wszystkie swoje dzieci, ostatnie, Sonka, miało blisko trzy lata. Szarpiące burze i martwe cisze miłości z Romanem były dawno wygasłą przeszłością. „Wiedziałaś, że kochaliśmy się w tobie obaj”, powiedział Oxeński. I oto stoi już gotowe trzecie widmo tego wieczoru.

Przeklinali ją i błogosławili jednymi nieomal słowami, kochali jakby według jednego tekstu. Sam go jej przyprowadził, tego Aramowicza, do ich paryskiego mieszkania, sam sprawił to; od czego cierpiał on i od czego cierpiała ona — jeszcze raz w życiu, w którym tylko cierpienie jest ważne.

Żyć w ognjach tej krzyżującej się miłości, w jej krótkich śpiączkach, w jej cichych błyskawicach — cóż to była za męczarnia! I ja-

nywano pracę dla przyszłości, oficjalną pustkę tych lat wypełniano niewidzialnym piśmem, które kiedyś dopiero wolność miała ujawnić, jak gorący blask światła ujawnia kreślone sympatycznym atramentem tajemnicze słowa. I stało się tak, że ciągłość została zachowana; mamy literaturę i sztukę tego okresu, jaką — to się okaże, ale co najważniejsze — czytać ręce będą mogły w przyszłości odwracać te kartki, tworzone w wojennych wiosnach i jesieniach, w lubelskich lasach czy w Samarkandzie, na Solcu czy Nowogrodzkiej.

Groza okupacji niemieckiej na ziemiach polskich nie była grozą jednego czy kilku faktów, jednej czy kilku zbrodni, jednej czy kilku śmierci; prawda o tej grozie musi być prawdą nie jednego świadectwa, nie jednego zeznania, lecz wszystkich możliwych. Gromadne „j'accuse” w procesie Trzeciej Rzeszy powinno zostać spuścizną naszego pokolenia — nie tylko, aby winni nie umknęli karze, lecz aby z dzieł tych lat uczynić sprawę jawną, wiadomą i żywą dla tych, którzy nie słyszeli salw egzekucyjnych na ulicy Piusą, czy jęku w piwnicach kripo.

Jeden z najdzielniejszych obywateli Warszawy, dyrektor Muzeum Narodowego, Sta-

kie czarodziejskie szczęście! Tym szczęściem cały świat tętnił, od niegdy mienił się i kołysał.

Ale i to niedobre było we wspomnieniu. Nieprzyjemnie było to myśleć. Z jakąż przykrością patrzyła tu przed niedawną chwilą, że do Aramowicza podchodził jednak Wysokolski, że z nim poufnie rozmawia. Stała słuchając dziwnych słów Oxeńskiego i nie odrywała zarazem oczu od tamtych dwóch ludzi, którym nie mogła przeskodzić w tym, że mówili ze sobą, jak przyjaciele. To ona ich tak ustawiła, to ona wyznaczyła ich stosunek wzajemny. I gdy tak śledziła tę ich bliskość, przeciwną naturze, nagle obrócił się w jej stronę Aramowicz i siedł ku niej — ciężki, opasły, senny, — by powitać całą jej rodzinę. Po bólu w sercu uczuła, jak zbladła. W przeciwieństwie bowiem do Oxeńskiego, Aramowicz był kiedyś jej kochankiem „szczęśliwym”.

Sprawa jej z nimi była jeszcze wciąż żywa, pełna niepokoju, była tak wieloraka i płynna, że teraz jeszcze Agata zmieniała się od niej w swoich oczach.

Wobec Oxeńskiego zdarzało jej się przez miesiące i lata być urażoną w swych uczuciach macierzyńskich tęskniową. Jakby na cały ten czas zamykała w sobie przegródkę, w której leżała jej zmarnowana miłość. Niekiedy bywała dlań już tylko przybraną matką, biorąc go w obronę przed gwałtownymi uniesieniami gniewów Katarzyny. Widać dochodziły w niej do głosu różne, jak nauczał kiedyś Działyński, po kolei jej „jaźnie”. Gdy milkiły inne, pozostawał jedynie jamesowski socjal self.

A przecież dotąd jeszcze trwał wewnątrz niej zawsze dający się rozpoznać zapach i kolor tych lat, gdy to „zaczynała się” Kasia i Agata miała obok siebie ich nowe, ich młode szczęście. Żer dla rozpaczki był jeszcze blisko i nawet w męce i w nienawiści i zgrozie znajdowała niewymowne upojenie. Bo najtrudniejsze do wytrzymania było nie to, że się kochali, ale gdy odeszli się kochać tak daleko. I Agata raz jeszcze wierzyła, że to było najwięcej, co — mając — z własnej winy utraciła.

Tak samo zmieniała się jeszcze jej sprawa z Aramowiczem. Między ludźmi przybierał wobec niej ten sam ton, od wielu lat żartobliwie czołobitny, którego nie znosiła. Wystarczyło, że powiedział ze staroświecką grzecznością: „a, pani generałowa!” Wystarczyło usłyszeć jeden jego niemodny komentarz, że jest zawsze „urocza” albo gorzej: „nieczuła”, by stracić pewność siebie, by pomyśleć, że oto jednak kiedyś ją miał. Że o tym pamięta. I wie, że pamięta o tym ona.

Czasami jednak, gdy w jakimś domu wspólnych znajomych musiała dłużej znieść jego obecność i wysłuchiwać cichym głosem robionych jej wyrzutów, wówczas odwracały się ich role. Zdawał się pamiętać raczej nie to, że mu się oddała, ale że zerwała z nim tak nieoczekiwanie i łatwo. Doszedł do wniosku, że „nie kochała go nigdy”. Mogła wtedy myśleć, że naprawdę jakoś z jej powodu cierpiał, że przynajmniej tak mu się zdawało. Niewątpliwie się na niej zawiódł. „Mózg, zimny mózg, piękne ciało i ani odrobiny serca”, — to były te pretensje, które skłaniały ją do żartów, śmieszyły swą staroświecczyną. Musiała jednak i wtedy przyznać, że punkt: „piękne ciało” był nawet w tych lepszych sytuacjach wyjątkowo przykry.

I jeszcze raz zdziwił ją, że w tych pretensjach pośmiertnych obaj ci ludzie — o tak odmiennych przez nią wyznaczonych sobie rolach, — po dawnemu przemawiają do niej podobnym tonem i podobnymi słowami. Bo „nieczuła” i „bez serca” miało ten sam sens, co „nieludzka”.

(Ciąg dalszy w następnym numerze).

nisław Lorentz, więziony przez załogę SS, jako zakładnik w czasie powstania, czterokrotnie skazany na śmierć, w ciągu dwóch miesięcy grozy i pełnej świadomości nieuchronnego końca — noc w noc spisywał na kartkach kronikę tych chwil i w szczelnych butelkach zakopywał conocne wspomnienia na muzealnym dziedzińcu. To wykracza nie tylko poza korzyści, interes czy rozgłos, ale poza życie i śmierć, której człowiek ów uniknął cudem czy przypadkiem. Spisywanie wspomnień przy biurku może być przyjemne i przytoczyć sławę, ale kreślenie notatek o chwilach, które miały wszelkie cechy chwil ostatnich, da się wytłumaczyć jedynie troską o prawdę tych chwil i o losy tej prawdy, która mogła łatwo przepaść wraz z człowiekiem, co byłoby stratą dotkliwszą, niż jedna ludzka śmierć. Musimy ciągle oglądać się z zewnątrz w szerokiej panoramie i zdawać sobie sprawę z tego, kim jesteśmy i kim nam być nie wolno, co mamy czynić i czego nam czynić nie wolno; na czas naszego życia mamy w rękę nie tylko własne losy, ale i losy tych, którzy urodzą się po nas, podobnie jak nasi poprzednicy przesadzili swym życiem nie tylko własną ale i naszą dolę, co dobrze czujemy na skórze. Z lewej i z prawej jesteśmy zahaczeni, jak ogniwo w łańcuchu, którego całość i ciągłość powinna być naszą myślą powszednią. Wszystko co umiemy, wszystko o czym wiemy nie jest naszą wyłączną własnością. Ow znanymi konserwator, którego pracownię dobrze pamiętają malarze i historycy sztuki, nie chciał z życia zdradzić tajemnicy swego kunsztu i zmarł wraz z nią wojenną czy wojenną śmiercią. Dziś przydałaby się znajomość tej zagadki i pewnie przydałaby się nie raz w przyszłości. Jednym z obowiązków życia jest, aby jak najmniej zabierać z swą śmiercią.

Ktoś, w jakiejś niedawnej rozmowie, nazwał nas „kompostowym pokoleniem”. Te słowa mogą mieć pełen grozy dźwięk dla tych, którzy widzieli nawóz, wytwarzany przez Niemców ze spalonych ciał, ale to nie odbiera im dobrego sensu. Z naszych doświadczeń, przeżyć, z naszej wojennej mądrości, z naszych zwycięstw i upadków — powinny wyrosnąć w przyszłości zdrowe pożytki. Niechże raz wreszcie w Polsce nie pójdzie coś na marne, niechże raz w końcu zostanie jakaś nauka po szkodzi. Prawda tych pięciu lat zaświadczy nie tylko o naszej krzywdzie, ale i o naszej naturze. Mosty, tory, tunele — straciliśmy za sprawą przemocy, lecz stolicę zrujnowano nam swojskim temperamentem, nie mówiąc już o tysiącach swojskich nóg i rąk, które deptały i darty własne, warszawskie dobro. Jakiego losu bylibyśmy godni, gdyby po tym co zaszło pamięć spalonych bibliotek, archiwów, pierwszych wydań Reja, aktów Tomickiego, najstarszych druków i pism — nie stała się przestroją polskiego sumienia na czas nieskończony?

Można znieść wszystko, gdy się uratowało jakąś jedną rzecz bezwzględnie drogą i bliską. Podczas ewakuacji Warszawy spotykałem ludzi półnagich i półżywych, którzy nie ratowali swych ubrań, ale chwytali rękopisy. „Mogę żyć, bo wyniosłem z ognia” — cieszył się w Pruszkowie ktoś, kto uchronił od zniszczenia swoją wojenną twórczość i nie miał na sobie nic prócz spodni, koszuli i płóciennego płaszczka. Wbrew wszystkiemu, co nieraz się mówi — w chwilach katastrof wartości niematerialne stają się nad wszystkie inne cenniejsze. Przywiązanie do trwania, ciągłości, dbałość o łagodne następstwo czasu jest niewątpliwie właściwością jednostki. Rzeczą pożyteczną byłoby pamiętać, że w równej mierze dotyczy to narodu i że kolumny Zygmunta będzie bardziej brak, niż firmy Habermusch i Schiele.

Dlatego Kraków jest dziś wartością szczególnie wielkiej ceny. Polska pozostała tu niepokonana. Każdy krok ofiarowuje nam najpiękniejsze z nią spotkanie, każdy załom czy występ odsłania nam głęboki rewers rzeczy w czasie przeszły, który umacnia nas w czasie teraźniejszym i — o czym zawsze należy pamiętać — nakłada obowiązki na przyszłość. „Wolę być głodny niż nie widzieć Wawelu”. Słyszałem takie zdanie. Jest w nim wielka racja, bo żywność przyplynie w końcu z ziemi szeroka, obfita falą — lecz Wawelu nie wolno utracić.

A zatem, jeszcze w czasie wojny, ale już w przedwiośniu pokoju warto poświęcić jakąś myśl codzienną dniom, które nie są dalekie. Kraków nastraja historycznie, ukazuje wielki odłam dzieł, odsłania stary szlak przeszłości. To miasto może nieco sennie ale ostrożnie i wytrwale żeglując w czasie; jest przez to w pewnej mierze niebezpieczne, nie trudno w nim popaść w wąską tradycjonalizm, który w dzisiejszym czasie wielkich przemian byłby szczególnym nonsensem. Ale w tych paru uwagach, w których tak często powraca słowo „ciągłość”, ma ono na oku ciągłość istnienia, nie kontynuację treści, troskę o całość i zachowanie substancji, nie o jej skostnienie. Ta substancja musi istnieć, trwać o każdym czasie, aby nowe formy mogły w niej znaleźć pełny, ostry wyraz; każda przemiana, jeśli nie ma być koziołkiem w próżni, musi się dokonać w dobrze wyposażonym organizmie. I tylko o tę ciągłość chodzi. Bo nawet rewolucja, rozsądnie pojęta, zmienia jedynie układ materii, wzajemny stosunek jej członów, ale oszczędza ją samą. O tym należy pamiętać.

* Ciąg dalszy. Por. nr 13, 14, 15, 16, 17 i 18 „Odrodzenia”.

JULIAN PRZYBOS

Z teorii i praktyki poetyckiej

Trudniej niż poezje pisać o poezji. Nic nie wprawia mnie w taki stan niezdecydowania, jak konieczność ustalenia drogowskazku z palcem mierzącym w jedną tylko stronę jej świata. Ilekroć, zmuszony okolicznościami, pisałem artykuł, tylekroć czułem, kończąc, ulomność tego co powiedziałem; więcej: ustawicznie towarzyszyła mi świadomość, że nieodpowiedzenie jest nieodłączną przypadłością teoretyzowania. Niekiedy wydawało mi się nawet, że odwrócenie moich twierdzeń też byłoby słuszne — w innym układzie odczuwania poetyckiego. To też najczęściej pisywałem artykuły przeciwko sobie. Zamknawszy pewien krąg tematów i form, dążyłem do przekroczenia jego osiągniętej już wartości i wtedy właśnie uprzedzałem swoją pracę teoretycznymi propozycjami. Rzadko miewam wątpliwości, jaki kształt ostateczny winien mieć wiersz, który piszę. Zazwyczaj wiem to nieomylnie, utwór w ciągu układania jest jak pewnik matematyczny. Ale nie mam ani odrobiny tej pewności, gdy usiłuję domyślić się, jak powinienem pisać utwory, których jeszcze kształtować nie zacząłem i nie wiadomo kiedy zacznę. Stoi się wtedy na rozdrożu: wiele dróg wiodących w różne strony wiedzie ku miejscom poetyckich urzeczywistnień, ale na pewien, ten właśnie a nie inny okres czasu, jedna tylko ścieżka prowadzi do celu. Która?

Trudność polega nie tylko na tym, że praktykując poezję pragnęłoby się każdy jej horoskop natychmiast sprawdzić, każdy zarys programu wypełnić treścią, że więc ufać mu można tylko na miarę własnej wydajności. Nie sposób pisać o poezji w ogóle, nie opisać jej na obwodzie własnej, szczególnej. Trochę krytycznego zastanowienia i skromności musi przynieść teoretyzującego poetę do refleksji: czy wnioski wysnute z własnych, jednostkowych doświadczeń mogą być pomocne tym, którzy nie mieli takich samych doświadczeń? Nie jestem krytykiem, nie umiem pasjom swoim nadać, ostudziwszy, form obiektywnej oceny i obdarzyć nimi sprawiedliwie wszystkie dążności współczesnej poezji. Nie jestem teoretykiem na tyle, żebym umiał odłączyć od siebie praktyka.

Trzeba zacząć od spraw elementarnych. Poezja to mowa wiązana w przeciwieństwie do mowy niewiązanej, prozy. Poezja jest przeciwieństwem prozy. Gdyby ująć istotę poezji tylko na podstawie sposobów postępowania się słowem, można by określić tak: **poezją jest to, co nie jest prozą**. Pseudoklasykom wydawało się, że zespół reguł wystarcza do zrobienia z prozy poezji. Dopiero romantyzm obudził poczucie odrębności mowy poetyckiej tak żywe, że sterczało go na wiek pracy wynalazczej dla kilkunastu genialnych poetów. Dla rozwoju mowy poetyckiej wiek XIX dokonał więcej niż kilka wieków naśladowania klasyków. Ścisłszy świadomość tego co poetyckie doprowadziła do usunięcia z poezji gatunków prozaicznych. Zamierzają rodzaje do niedawna uprawiane w mowie wiązanej, tenreń opróżnione przez wiersze coraz szerzej zagarnia proza. Kto dziś pisze powieść — wierszem? Kto rymuje komedię? Chyba epigon, maniak przeszłości. Aż przyszedł symbolizm i wymiotti ostatecznie z poezji pierwiastki opisowo-narracyjne, oczyszczając ją do liryki.

I jedynie liryka działa na nas w dziełach dawnych mistrzów jako twór nieodparcie poetycki; jedynie liryki nie potrafiłobyśmy przełożyć na język prozy. I oto kryterium — też negatywne — **poezją jest to, co nie da się powiedzieć językiem potocznym, prozą**. Po cóż zadawać sobie dziwny trud pisanja wierszem o rzeczach, które równie dobrze można wyrazić prozą? Odwrócenie tego twierdzenia: że **nie jest poezją to, co się da przetłumaczyć na język prozy** — wymaga paru słów wyjaśnienia. Nie znaczy to, żeby poezja miała wyrażać jakies stany niewyraźne, niedostępne przeciętnemu obywatelowi, wyobcowane z doświadczeń społecznych. Nie ma dobrego wiersza, który by nie mógł być powszechnie zrozumiany i odczytany. Ale najobszerniejszy komentarz, najdokładniejsze rozwinięcie treści utworu poetyckiego nie da jego zawartości, jego istoty, jego — poezji.

Jak sztucznym tworem wydaje się dzisiaj np. romantyczna powieść poetycka. Nawoływania do „wielkich“ (czytaj: obszernych) form poezji, do epiki, dumy, poematu opisowego — są dowodem nieporozumienia z poezją i czytelnikami. Nie ma takiego zapotrzebowania społecznego w XX wieku. To tylko zapóźnione literatury młodych narodów i szczepów, które nie miały w dorobku twórczym swojego wieku XIX, mogą jeszcze nadrabiać braki i uprawiać anachroniczne gatunki.

Poezje czyta się zawsze na tle prozy. To kontrastowe tło, wyczuwalne nieświadomie w czasie spożywania wierszy, wydatnia pierwszy plan wyobraźni poetyckiej. Poezja w najbardziej czujnych, czołowych swoich osiągnięciach jest nie tylko wytwórnią nowych form odczuwania i oceniania zjawisk, to wieczna korektorka siebie samej. Gdy proces uniezwyklenia języka, przeciwstawienia go językowi prozy dojdzie do stanu odczuwanego jako nienaturalność, sztuczność, można z pewnością wróżyć rychły zwrot do po-

tożności słów i wyobrażeń, można mieć pewność, że w kredowe koło poezji musi wtargnąć codzienny świat wyobraźni. Bo najbardziej artystyczny wiersz winien mieć wygląd tak przekonujący i naturalny, jak gdyby się dział bez trudu, a koniecznie jak oddech.

Do prądów ekstremistycznych, wyznających mit poezji czystej i przygody duchowej, Jan Kott zaliczył w czambuł awangardę krakowską. Nie podjąłbym się obrony stanowisk estetycznych wszystkich byłych kolegów, z którymi spotykałem się na kartkach „Linii“. To pewna, że Rimbaudyzm był postawą dawno przewyższoną i nie było w awangardzie ani jednego zwolennika awantury duchowej, męczennika niewyraźnego. Histerii nieskończoności przeciwstawiali poeci krakowskiej troskę o wyraz, o literaturę. Nikt z nich, na szczęście czy nieszczęście, nie złamał pióra, nie zamilkł. Mit poezji czystej w znaczeniu, jakie nadaje mu Kott, był tworem wyrafinowanego estetyzmu. Dalszemu wynaturzeniu uległ w teorii księdzka Bremonda i w jego interpretacji działał pośrednio na pewne koła warszawskie. Ma ten mit swoje źródło w pomieszaniu pojęć: modlitwy i natchnienia. Jak każda złudna wiara doprowadzał swoich wyznawców do rozczarowania, a w końcu do pustego wielkosłowa maskującego nudę i wyczerpanie. Wyznawcy Bremonda kończyli na hieratycznych gestach w pustce, na egzorcyzmach wypędzających rzeczywistość.

Inaczej ma się sprawa z ideą poezji jako mowy wiązanej, zwieżłej; jako mowy swobodnej, odrębnej od mowy prozy; poezji jako przeciwieństwa prozy; poezji jako zespołu swoistych środków ekspresji; jako wyrazu takich stanów i doświadczeń, dla których mowa potoczna, komunikatywna nie ma słów. Szukano terminu, który by najszczelniej przystawał do takiego ideału poezji i znalaziono nazwę: poezja integralna, tj. zupełna, najczystsza, stu procentowa. Niekiedy, to prawda, stawiano znak równości między nazwą „integralna“ — „czysta“, ale pod tą czy tamtą etykietą rozumiano zawsze jedno: mowę przepiękną w tyglu formy w złoto tak zwartej treści, że bliskie milczeniu. Mówię tu — bo muszę — za siebie. Fundamentalną zasadą, na której budowałem swoją praktykę i teorię poetycką, była i jest zasada rygoru. Dążyłem i dążę do najsurowszej dyscypliny twórczej, do selekcji treści wewnętrznej i do największej celności wyrazu; do zwartości takiej, aby nie tylko żadne słowo nie było zbędne, ale żeby jego najdalszy odłask znaczeniowy działał w ścisłej zgodzie z odcieniami znaczeń wszystkich słów, wszystkich zdań — i wszystkich wzruszeń w poemacie.

Wobec takich wymogów (niewłaściwym byłoby powiedzieć, że je sobie stawiam — wynikają one z mojej natury) ostać się mogą wzruszenia, których stumić nie sposób, treści nieodparte już, jedne, takie które się nie powtarzają i które angażują całego człowieka. Aby im dać wyraz, trzeba znaleźć za każdym razem na nowo nową zasadę układu, trzeba wynaleźć kształt tak niepodobny do dawniej narysowanych, jak niepodobne jest wciąż nowe doświadczenie poetyckie. Każdy utwór ma być równaniem serca, matematycznie określoną definicją stanu lirycznego. To jest ideał, jakże rzadko — może nigdy — osiągalny.

W różnych czasach różnymi słowami określałem to samo. Paradoksalne hasło: „Każde zdanie poematu winno być pointą“ ukazywało ten ideał zwanca wizji i myśli, trafiających najsilniej, bo wciąż odkrywanych i zdobywanych przez wynalazki mowy. Paradoks ów był też wyrazem protestu przeciwko „wodolejstwu“, „opisywactwu“, przeciwko poezji wrażeń i nastrojów. Wiersz powszechnie u nas uprawiany da się sprowadzić do jednego zaledwie ziarnka poetyckości, pływającego w morzu prozaicznej „wody“. Tą prozaiczną wodą jest albo opis jakiegoś błahego zdarzenia czy fragmentu rzeczywistości, albo drobne opowiadanie, coś jak „mały felieton“, „migawka“ w dzienniku, albo łezka, sentymentalny skecz. Bywają też wiersze, w których ta woda się kłębi, są to retoryczne quasi rimbaudowskie „drapieżności“, buńczuczne dytyramby. Cały sens i powód pisanja mniejszej lub większej ilości zwrotek sprowadza się do pointy, do końcowego zdania mającego działać na słuchacza najsilniej; w poince zawarty jest pomysł poetycki całości utworu. Proponowałem kiedyś taki — negatywny — sprawdzian wartości wiersza: **Zły jest wiersz, w którym bez szkody dla wyrazu artystycznego skreślić można strofę, zdanie czy słowo**. Stosując to kryterium bezwzględnie — z wiersza typu impresjonistycznego ocali się można tylko zdanie końcowe, pointę, owo jedyne ziarno poetyckie utopione w rozlewnej, rymowanej prozie.

Powierzchniowość doznań poetów wrażliwością, przypadkowością nastrojów przeciwstawiałem doznania dogłębne. Cytat, który przytacza Kott („Zgasłe miły poetyckie“, „Odrodzenie“, nr 16), nie jest wyznaniem wiary oderwanca, przemawiającego za Mallarmem. Akcent w nim należy położyć na to, że liryzm jest wynikiem ostatecznym codziennych doświadczeń. „Laska z powietrza“ nie jest wyobrażeniem wymyślonym tylko dla

przykładu laski poetyckiej par excellence, jest to cytat z wiersza, w którym ma swoje konieczne istnienie, wynika z doświadczenia.

Nie pojmuję, nie chcę uwierzyć, że ktoś w sztuce tylko „eksperymentuje“ tzn. pisze czy maluje na niby, na próbę, że za to co podpisuje swoim nazwiskiem bierze tylko bółowiczną odpowiedzialność. Utwór literacki, jak każde dzieło ludzkie, ulega w ciągu powstawania przemianom; autor zanim nada jej ostateczny kształt, poddaje swoją wizję wielu doświadczeniom i próbom. Ale chyba żaden odpowiedzialny autor nie zda się na przypadkowość formy, nie poprzestanie na szkicu tam, gdzie konieczny obraz. U nas, co prawda, zbyt prostotliwi nowatorzy w plastyce i tzw. futuryści nawoływali do eksperymentowania, ale biorąc zbyt dosłownie, dawali się nabrać (zamiast nabierać publiczność) temu, co u Francuzów było pół-zabawą, maską. Wyrafinowana gierka persyflażu — u nas ocieżała w karykaturę programów. Dzisiaj nie dostrzegam już, w przeciwieństwie do Kotta, „tragedii nadrealizmu“; nie trzeba brać zbyt poważnie rzekomo naukowych aspiracji tej buffonady literackiej, a „słowa na wolność“ futurystów uważać za co innego jak chybiony, bo powtarzany kawał.

Odwrot więc od eksperymentowania jest rzeczą pewną, tym pewniejszą, że „eksperymentowano“ w sztuce na okrajach Europy — na Zachodzie mistyfikowano, kpiono. Nie sądzę natomiast, żeby kiedykolwiek nastąpił w poezji, jak przypuszcza Kott, odwrót od „problemu technik artystycznych“. Nigdy nie przestaną pasjonować poetów sprawy sztuki poetyckiej. Gdyby zamarła dyskusja na te tematy, skończyłoby się życie literackie; gdyby poeci przestali ciągle, ustawicznie odkrywać nowe sposoby wyrażania uczuć, ustalałyby twórczość poetycka. Bo istotą twórczości jest odnowa, niepoprzestawanie na osiągniętym już zasobie poetyckiego gospodarstwa, wynalazczość.

Mówię tu o poezji jako o tworzeniu poetyckim, a nie o poszczególnych poezjach, czy całych tomach poezji. Tak pojętej poezji można nie znaleźć nawet w setce tomów, bo o co chodzi? Nie o powtarzanie wypracowanego już standardu formy, ale o tworzenie nowego wyrazu, jeszcze skuteczniej kształtującego serce i głowę czytelnika. Tak pojętej poezji nie zagraża rychłe zejście do muzeum technicznych osobliwości. Stworzyć nowy język poetycki — na to trzeba pracy całego pokolenia talentów.

Idealnym odbiorcą poezji byłby słuchacz o dwójakiej niejako wrażliwości: czułością dotychczasową, o wyobraźni ukształconej na najlepszych wzorach, a równocześnie otwierający swoją wrażliwość twórczym odstępstwem od dawnych czułości. Taką wrażliwością samokrytyczną, ustawicznie korygującą swoje nawyki, winien by oznaczać się czytelnik upragniony przez poetę. Ale ilu jest takich? Jak mało ich nawet wśród poetów, wsłuchanych zazwyczaj tylko we własny śpiew. Pospolici słuchacze wzruszają się banałami, dociera do nich tylko to, co biegnie po dawno utartych koleinach słów i uczuć. Nastawienie słuchacza powinno być inne: **wyostrenie uwagi na to co już przeżyte i gotowość do przyjęcia nowego**, jeszcze nie przeżytego wzruszenia. Bo dobry wiersz liryczny to definicja nieznanego dotychczas przeżycia. I taka jest kształcąca rola poezji: poszerzenie naszej wzruszeniowości, organizowanie wyobraźni.

Nic tak dowodnie nie zdradza pisarza jak jego poezja. Nie można kłamać w liryce. Nie można się ukryć poza wymyślonymi postaciami jak w powieści czy dramacie, w liryce odsłonić się musi cały, zupełny człowiek, osobowość musi się przejrzeć w lustrze społecznym. I właśnie w liryce pewnych poetów, a nie w powieści, odbiło się najjaskrawiej napszone, „mocarstwowe“ oblicze Polski przedwzrośnięwej. Wojna zdarła maski, wytrąciła z wykrętnych poz. Zapatrzonym w świat urojen odsoniła w blasku pożarów — rzeczywistość, oświadczyła prawdę najpierwszą: że jednostka bez społeczeństwa nie znaczy nic, poeta bez słuchaczy, **śpiewak sobie a muzom, jest jak głuchoniemy gestykułujący na trybunie**.

A więc powrót do rzeczywistości w poezji, realizm. Hasło to jest tak ogólnikowe, że pyta samo o siebie. **Powrót nie może być odwrotem**. Nie można przekreślić ogromnych odkryć poetyckich ostatnich stu lat, nie wolno zatrzymać się na romantykach. Nie sposób po uświadomieniu sobie podstawowej prawdy o poezji wracać do rymowanych powiastek „z życia“. Jeśli by to hasło miało oznaczać odwrócenie się od „problemu technik poetyckich“, tj. od obowiązku wynalazczości w zakresie środków wyrazu, nie przyjąłby go żaden prawdziwy poeta. Obawiam się, by realizm w poezji nie był pojęty jako „chwytanie rzeczywistości na gorąco“, jako reportaż wierszem lub rymowana publicystyka. Obawiam się, że poeci mniej ambitni osłabną w wysiłkach twórczych, zszarżają niepodniecani wymogiem odkrywczości. Obawiam się, by w wezwaniu Kotta nie dosłyszano lekceważenia formy, rozzuchwaliby to autorów hasełkowej prozy rymowanej o „szlachetnej treści“, a przestarzałej, epigonicznej formie,

doprowadziłyby do nagminnej tromtadracji. Tego się obawiam.

Hasło realizmu w prozie jest jasne, rozumiemy o co chodzi, można wskazać przykłady stylu realistycznego: Tolstoj, Prus. Ale realizm w liryce? Nie może przecież oznaczać „panatadeuszowania“, nawet „Pan Tadeusz“ na nie się nie przyda jako stylizacyjny wzór dla współczesnego poety-realisty. Więcej powiem: ani „Dziady“ ani liryki rzymskie czy lozańskie nie mogą być tak jasnym przykładem stylu jak jakikolwiek urywek Tolstoj czy Prusa. Dlaczego? Bo istotą stylu jedynie trafnego w poezji — jest wieczna wynalazczość, nurt mowy nigdy nie zakrzepły w kształt ustalony, w to co się właśnie pospolicie nazywa stylem, nurt mowy ciągle rzeźbiący sobie nowe brzegi. Dlatego też, nie można wskazać pocie mistrzów jego stylu, nie można mu przepisać stylu, który mógłby kształtować jego środki wyrazu **Tam gdzie się kończy wynalazczość — kończy się poezja, a zaczyna powtarzanie, stylizacja, zdobnictwo**. To dlatego poezja jest najbardziej postępowym gatunkiem literackim, najczulszym miernikiem napięć twórczych.

Czy to znaczy, że każdy poeta musi zacząć od nowa, że nie może czerpać z zasobów tradycyjnej poetyki? Przecie całe pokolenia literackie „odkrywały“ w przeszłości swoich mistrzów, prawie każda szkoła poetycka miała swojego patrona. Młoda Polska nawiązywała do Słowackiego, w literaturze dwudziestolecia były grupki poetów wyznające Norwida, a do Mickiewicza pielgrzymowali wszyscy. Zdaje mi się, że się to nie wzór, nie mistrza odkrywa w przeszłości, lecz siebie w wybranym pocie. To tylko po potwierdzenie swoich zalet lub wad zwraca się terażniejszość do przeszłości. Ze Słowackiego brań dekadenci Młodej Polski tylko to, co było w nim złe i najgorsze: chorobliwą fantastykę, barokowe zdobnictwo i mistyczny męt. Norwid służył argumentami ideologom reakcji. Mickiewicz... tyłu powoływało się na niego, że stawszy się pozornie własnością wszystkich, do dzisiejszego dnia nie został jeszcze odkryty. Mickiewicz jest najmniej znany jako poeta.

Jest jeszcze inna zasadnicza przyczyna trudności nawiązania do sztuki klasyków. Wielcy poeci wynikają z długiej ewolucji kierunków artystycznych, w dziele swoim doprowadzają do doskonałości idee poetyckie niosące całe pokolenie talentów. Osiągają szczyty przez ich poprzedników nie osiągnięte, a dla następców — nieosiągalne. Nie można rozwijać idei artystycznych rozwiniętych już do absolutnej pełni, nawiązywać nici do wątku skończonego. Ze szczytu droga wiedzie tylko w dół. Dlatego też nikt jeszcze nie podrobił Mickiewicza, bo Mickiewicz jest tak ściśle, tak okrągło zamknięty w sobie, że, by przeniknąć w jego krąg, trzeba by mieć jego geniusz. Wzorowanie się na nim, naśladownictwo, wszystkie świadome „nawiązywania“ dawały w wyniku karykaturę jego stylu i postawy. A jak łatwo czerpali ze Słowackiego poeci Młodej Polski, co prawda z braków i skaz jego artystycznego dziedzictwa.

Jak więc nawiązać do tradycji sztuki wielkiej, jak poprzez krzepiacę jej wspomnienie tworzyć sztukę współczesną, godną minionych okresów świetności. Sądzę, że jest tylko jeden sposób: nie naśladować, nie pisać według wzoru, **przyjąć równie mocno a współczesną postawę twórczą**. Klasyki zanim stali się klasykami mieli, musieli mieć przeszłość uchodźców ze starego i odkrywców nowego świata poezji. Autor „Kartofli“ i ten sam autor „Czterydahu“ to dwa różni artyści. Nowe warunki społeczne domagają się nowego wyrazu. Rewolucja francuska doznała długo stroila się w szaty antyczne, ale wyraziła się twórczo przez rewolucję romantyczną.

Po spustoszeniu wojennym, jakiego nie doznała Europa od czasu wojny trzydziestoletniej, zrozumiała jest dążność do konserwacji tego co ocalało, troska o ciągłość kulturalną, oglądanie się za wielkimi wzorami w przeszłości. Głosząc realizm, nie wystarczyć powołać się na przodków, trzeba określić na czym ma polegać jego twórcza nowość, to, co go ma różnić od dawnego, a nie to, co go upodabnia.

Realizm oznacza wierność rzeczywistości, ale jak pojętej? Nie było kierunku literackiego, któryby nie powoływał się na jakąś rzeczywistość. Najsłynniejsi idealisci twierdzili, że wyrażają prawdę — „wewnętrzną“. Rozumieli przez to swoje urojenia. Gdy mowa o poezji, a więc liryce, łatwo o nieporozumienie, bo przecie bohaterem wiersza jest zawsze „ja liryczne“ autora, ale właśnie o rodzaj tego „ja“ chodzi, o jego legitymację społeczną.

Jeśli liryka poromantyczna była przeważnie spowiedzią egotystów, liryka, jakiej oczekuje nasz czas, będzie **wzruszeniem człowieka uspołecznionego**. Ile pasji, ile bohaterskiego wysiłku wydatkowali poeci w dążeniu do sztucznego raj! Idea „absolutu“ pochłaniała całe żywoty utalentowanych poszukiwaczy własnej odrębności. Otaczało się nimbem tych pasjonatów złudy, opętańców własnego „ja“. Dotychczas pokutuje wyobrażenie o pocie, jako o odludku, jednostce poza spo-

leczeństwem i przeciw społeczeństwu. Trzeba, aby tyleż pasji, tyleż natchnionego wysiłku poświęcili poeci lirycy, która ma dać wyraz uczuciom łączącym jednostkę ze społeczeństwem. Dekadent przybierał coraz to inną pozę, zaszczepiał sobie coraz to inną brodawkę wyjątkowości — i nigdy nie osiągał siebie. Dno psychiki niewypelnionej treści wspólną jest ruchome, umyka egotyście ustawicznie, jest nieosiągalne. Tylko człowiek związany silną więzią z przeżyciami gromady żyje pełnym życiem uczuciowym i tylko taki człowiek może wyrazić się w pełni.

Wojna ujawniła słabość wielu poezji wielu poetów. Wiemy co ocalało, zgadzamy się na ogół w ocenie przeszłości, ale przyszłości poezji lepiej niż się domyślać — tworzyć. Pod okupacją zrozumiałem jak głęboką u nas, jak powszechną potrzebą społeczną jest poezja. Gdy przed wojną poeci śpiewali przeważnie tylko sobie, w okresie niewoli i walki musieli śpiewać dla wszystkich. W czasie rozplamienia uczuć zbiorowości, w czasie gdy każda rozmowa była jak okrzyk lub szepet, liryczna wydana się konieczną, jedyną mową narodu. Nie było nigdy za mojego życia ta-

kiego pożądanego poezji, nigdy ludzie nie byli tak chętni wierszy jak wtedy i teraz. Liryczna wywołująca zbiorowe uczucie gniewu i żądę walki — oto najpoczytniejsza lektura czasów okupacji.

Rzeczą poetów będzie i później, po skończonej wojnie, iść na czele literatury, liryczną osobistą zespolić z pragnieniami zbiorowości, utrzymać nawiązaną więź ze społeczeństwem. Rzeczą poetów jest tworzyć. Tworzyć, nie obniżając poziomu, nie schodząc w lud, ale wchodząc weni i wznosząc.

Julian Przybóś

JALU KUREK

Fragment z powieści „Janosik”

Przy studni na Głuchaczkach spotkała się Mitanka z Agnieszką. Poglądne obie na niebo, czystki, bez chmurki. Mitanka zaczęła trząskać na palcach; taki miała zwyczaj.

— Chwała Bogu, ładnie się zrobiło i moje gołębie odetchnęły. Jastrzębie poszły w górę do Czatoży, do tokowisk głuszców. Będą sobie teraz tam polowały.

— I kury moje też odetchnęły — przyświadczyła Agnieszka. — Bo kanie idą wzdłuż wody ku wierchom. Będzie ciepło.

Gil głośno gwizdał w Buczynie. Drapieżne ptaki powylatywały na żer. Na łąkach czatowały sokół-pustułka, na ulubioną zdobycz: koniki polne. Krogulec uwił się wśród głazów, wypatrując jaszczurek między kamieniami w gorącym słońcu. Krzykliwa orlica wlatywała co chwila na łąkę, gdzie w wyniosłej koronie sposobila gniazdo, w którym za tydzień miała złożyć jaja.

Był piękny dzień od rana. Przez jeleśniański rynek przejechał wozem w drodze na stację kolejową sołtys korbielowski, dumnie rozparty na siedzeniu, ubrany w strój górala żywieckiego. Aż oczy emil kolorami. Jechał jak pan, nie jak chłop, odwoził go pacholek. Dzieci powyłaziły na drogę, poniekąd ze starszych osób wychyliła głowę od pracy, aby popatrzeć jak jedzie na kolej głowa sąsiedniej gromady, pewnie w sprawach urzędowych.

Na wzgórzu poniżej swej chałupy okopywał ziemniaki Wojnar z żoną i córką. Godzinę temu wyszedł im pomóc z motyką sąsiad Jędras. Posłyszawszy turkot wozu, wyprostowali wszyscy czworo zgięte krzyże, otarli dłońmi pot z czoła i osłoniwszy rękami oczy, patrzyli pod słońce na drogę. — Oho, sołtys z Korbielowa jedzie, — poznał go od razu Jędras. — Ubrał się na ostatni guzik. Jaki blask od niego bije!

— Pewnie znowu na jaki zjazd góralski w mieście — domyślał się Wojnar. — Ten dopiero wygrał na loterii interes z góralczyzną! Na gruncie nic nie robi od lat, najmuje sobie chłopów, a sam jeździ po kraju, jako delegat górali żywieckich.

Pochylił się w brudzie i podjął przerwana pracę. Ale dalej ciągnął swoją mowę. — On tam będzie za nas żarł i pił, będzie obiecywał w naszym imieniu niestworzone rzeczy. Będzie się podlizywał, płaszczył, zgodę zawierał z panami. Ile to kosztuje? Takie zjazdy, przyjęcia, żarcie, pijaństwo, święta gór? Zakupić mydła, soli, nafty i rozdać ludziom; to będzie prawdziwe święto dla nas.

— To paka grandziarzy, którzy się dopchali do żłobu — wyrzekł Jędras waląc rydłem w zbita, gliniastą ziemię. — Rany boskie, chyba kilofa trzeba by do tej ziemi, nie kopaczki, takie to twarde.

— Na nich trzeba by także kilofa — zaśmiał się Wojnar. Na tych złodziei i gaiganów.

— Cicho bądźcie! — mitygowała ich kobieta. — Jakby tak Kaczmarczyk wylazł gdzie zza między, mielibyście się z pysznal!

— Sołtys i Kaczmarczyk to jedna ręka. Dodaj jeszcze do tej kupy wójta Franczaka, piasarza Świątkiewicza, dyrektora tartaku, starostę z Żywca, komendanta policji powiatow-

wej. Kogo jeszcze? Witka-Choleję ze Sporysza, sanatora od świń, sołtysa Kamienieckiego. Witkowskiego z Przyborowa. Cała banda gotowa.

Tak to w słoneczny wiosenny ranek pod nieświadomości policji i sanacji jeleśniańskiej rosły nastroje opozycyjne przy okopywaniu ziemniaków. Chłoptwo cierpliwie zginało plecy, przerzucając motykami po wielekroć zruszaną ziemię naokoło ziemniaczanych naci, ale w nadziejach i marzeniach maszerowało do Polski ludowej, chłopskiej.

W majowy zmierzch — słońce świeciło bez przerwy od rana — Jasiek wracał z trafiką od Bleisena. Pasik, największy kupiec w Jelesni, zamykał właśnie sklep. Na rynku koło studni terkotała niezmordowana Turcula. Meła najnowsze wiadomości; że Schlechtinger, kupiec drzewny z Korbielowa, zbankrutował i siedzi w więzieniu za umyślne bankructwo.

Taki Żyd nie będzie siedział długo. Podpłaci gdzie trzeba i zwolnią go za kaucją do rozprawy. A później wyjedzie zagranicę. I nie zobaczą go już w sądzie. Mało to tysięcy zarobił tamtego roku na drzewie, co wysyłał do Anglii?

Opowiadała dalej, ręce włożywszy pod fartuch, że straż graniczna skonfiskowała u Szywały w Sopotni przemyt z Czech. Podobno cały wóz wyladowali; samych jedwabnych pończoch miało być kilkadziesiąt kilo.

— Idźcie, idźcie! Chyba z rok musiałby zbierać Szywała ten szmugiel — korygowali przesadną wiadomość znający się na rzeczy. — Albo musiał ich z dziesięciu iść za granicę, żeby to aż wóz wypełniło.

Następna wiadomość była pikantniejsza: że do nauczycielki w Jelesni przyjeżdża jakiś narzeczony, akademik z Krakowa. Plotkarka nachylała się przy tym do ucha bab i z uśmiechem dodawała:

— Który to już będzie z rzędu narzeczony? Towarzyski podśmiewały się grubo, bijąc rękami po biodrach.

— My już takich widzieliśmy co przyjeżdżali na nocleg do panienci, a później ślad po nich ginął.

— Jak było z nauczycielką z Węgierskiej Górki? Ona była w naszej szkole przez rok. W zimie jeździł do niej niby to na narty jakiś młodzik; mówiła, że to krewny. Jak śnieg zniknął, przestał przyjeżdżać, a pani nauczycielka w ciąży. Ile było płaczu i chorowania! Musiała do Krakowa jeździć, aby ją doktorzy wyskrobali. I teraz ciągle choruje.

Ostatnią wiadomością rezerwowała Turkula tylko dla zaufanych. Wójt Franczak ma mieć rozprawę w starostwie o jakieś pieniądze, z których się nie wylczył. Podobno z Krakowa przyjechała komisja na dochodzenie w tej sprawie.

Przez okno na plebanii wypatrywał ksiądz proboszcz czy kwiatki rozwijają się w ogrodzie. Później zeszedł pod ganek i oglądał troskliwie pędy nowoszczonej róży. Za chwilę zje kolację; lekarz zalecił mu jedzenie wieczorem najmniej na dwie godziny przed snem.

Posłucha wiadomości radiowych, a następnie, wdziawszy lekki płaszcz, pójdzie na kuracyjny spacer wieczorny wzdłuż siatki drucianej. Wychodził zawsze uzbrojony w laskę; polował bowiem stale w ciemności na lekkomyślnych przechodniów, którzy, korzystając z mroku i zarośli, zaniechali ścieżkę pod ogrodową siatką, nic sobie nie robiąc z tego, że ogród należy do duchownej osoby. Po przechadzce jeszcze parę partyjek preferansu z dyrektorem szkoły i dzionek będzie można uważać za zakończony.

Z hukiem przejechało auto, przewiało kurzem. Pewnie wali do Korbielowa, do nadleśnictwa; ktoś z zarządu dóbr arcyksiążęcych wybiera się na brydża do nadleśniczego i jego pięknej, eleganckiej żony. Albo dyrektor fabryki dywanów ze Żywca jedzie na karty do swego przyjaciela, emerytowanego prokuratora, osiadłego we własnej przymilnej willi. Albo po prostu nadkomisarz z Bielska jedzie na inspekcję do placówki granicznej.

Pod pustą karczmą Habera siedzi na ławie kilku chłopców, opowiadających sobie stare historijki. U Króla piszcza jak zwykle dzieci; jest tam tej hałastury co niemara. Nauczycielka nie może wyznać się wśród nich — „Iluż was jest właściwie w domu, Królewiczów?” — pyta się ich niemal codziennie, zadowolona z własnego dowcipu. Zasmarkane dzieci przez cały dzień biją się wzajemnie. W przerwach między bitką pospólną łoi je pasem rodzony ojciec, wieczny pijanica.

Mimo rosnącego mroku Srokówna z opuchniętym okiem, siedząc przy otwartym oknie, stuknęła na swej nieśmiertelnej maszynie do szycia. Ten instrument, improwowany przez jej ojca własnoręcznie z Ameryki, utrzymywał trzy siostry Srokówny oraz ich sparaliżowaną ciotkę.

Od wodopaju wlokły się leniwie krowy. Słońce, które do tego czasu jeszcze trzymało się na górach, mimo iż w dolinie już panował cień, nagle zagasło od jednego razu, jakby zdmuchnięte. Dopiero teraz kraj głęboko pociemniał, poznawszy, że już nie ma ratunku przed napierającym królestwem nocy. Jakieś dziecko biegło drogą z kromką chleba w ręce. Niski, wiejski wiecior spadał wprost na chłopskie strzechy. Psy uganiały swobodnie po opłotkach. Całe szczęście, że nie miały wypisanych nazwisk swych właścicieli na szyi. Jużby im policjant nie przepuścił spaceru w ciemnościach. Teraz jest koniec psiej wolności. Dniem i nocą pies ma sterceć przy łańcuchu. Od tego jest.

Tak ma być i tak jest.

Tego wieczora przyszedł w odwiedziny do Karpiela Błaszczuk. Wyglądał na zmartwionego.

— Co ci dolega Michał? — zapytuje troskliwie gospodarz. Zdejmuje okulary, dziś bowiem dorwał się do jakiejś nadprogramowej gazetki od Wojnara.

— A! — zatchnęło gościa ze złości. Machnął ręką z goryczą i splunął na podłogę z pogardliwą pasją, a zmiarkowawszy, że Karpielowa kręci się koło blachy, roztań ha-

łaśliwie plwocinę podeszwą. — Miałem przejście z Kaczmarczykiem.

— Do ciebie się także doбира?

— Pojechałem dziś do miasta po gonty Walczakowi. Jestem już za stacją, mijam szkołę, a tu Kaczmarczyk wylaził z za węgla, kiwa na mnie ręką: „Halo, Błaszczuk, poczekajcie”. Stałem. Myślałem, że może chce się zabrać ze mną do Żywca. On dochodzi do mnie i pyta się czy mam książkę na konia. Mówię: nie mam, gdzie będę książkę nosił ze sobą, zgubił jeszcze. Proszę go, tłumaczę mu, gdzie u nas kiedy kto książkę na konia ze sobą nosi? Ale teraz już, jak będę wyjeżdżał, będę książkę zabierał. On nic, tylko pisze protokół. Zebrała mnie taka wściekłość, że wnet porwałbym się na niego i kark mu do ziemi przyduś!

— Nie rób głupstw, Michał — przestrzega go Karpiel. — Tylko się nie złościć. Bo to się może źle skończyć.

— Nie mogliście żony posłać, Błaszczuk, — wtrąca się Jasiek — z kwaterką masła, albo z parą kurcząt do pani przodownikowej, skreśliłoby się jakoś łeb protokółowi.

— Ja mojej baby do Kaczmarczyka nie posię. Po pierwsze, nie na to mam żonę, aby ją po policjantach wiozł. Po drugie, czy ja masło ze studni wydobywam w konewce, żeby mógł przekupywać przodownika? Skąd wezmę? A po trzecie, Kaczmarczyk jest na moją kobietę zły, bo się przystawiał do niej i pokłócili się. Ona obiecała mu żeby wybić, jak jej nie da spokoju. I dał spokój, ale teraz, cholera, ma oko na mnie.

— No, — Karpiel zaciera ręce z emocji — to czeka cię maleńka pigułka z Żywca. Myślę, że dwa dni aresztu, albo 20 złotych grzywny. Ale my ich przetrzymamy, już niedługo będą się panoszyli. Idziemy do Polski ludowej.

— Dobrze, ale kiedy nastanie ta Polska ludowa? Bo do tego czasu puszcza nas z torbami.

— Nie bój się. Wszystko do czasu. Tak jak do czasu świnię angielskie będą żarły polski cukier — pokazuje palcem na gazetę. Palec raz po raz dziołbie papier, szeleszcząc złowroźnie, o mało dziury nie przedrze.

— U nas chłop na wsi może sobie pozwolić zaledwie parę razy do roku na kupno cukru, a tymczasem świnię w Anglii karmi się polskim cukrem.

— Co opowiadasz?

— To właśnie nazywa się polityką. Minister w Warszawie powiedział, że handel z Anglią nie pójdzie, jak jej nie sprzedamy za bezcen polskiego cukru. I dlatego angielskie świnię żrą polski cukier. Aby handel szedł. A my zostaliśmy bez cukru.

— Postępują z narodem, jak ze stadem głupich baranów! — dziwił się oburzony Błaszczuk.

— Albo pomyśl sobie: przedtem każdy chłop kupował sól bydłą do solenia potraw w domu. Żeby było taniej. Nie podobało się to rządowi. Skazili sól bydłą jakąś farbą zieloną. Po co? Żeby chłop nie mógł za tanie pieniądze posolić ziemniaków. A my nic. Znosimy jedno po drugim. Robią z nami co im się żywnie podoba Dłaczego?

— Ja wiem?

— Bośmy głupi.

Rozczapierzył ręce nad gazetą. Zegar wybił dziesiątą. To zmytowało Karpiela. Słuchał uważnie, ile godzin wybije, poczem złożył we czworo gazetę, schował za obraz i powtórzył:

— Bośmy głupi.

Księżyc wyskoczył z lasu. Pierzaste obłoczki szybowały po ciemnoszafirowym firmamencie. Pachniały mięty na moczarze. Błaszczuk ciągnął wolno do domu zmęczony całodzienną robotą, przybity Karpielowym kaganem. Jeszcze przed zaśnięciem powtarzał sobie krakanie sąsiada: Bośmy głupi.

Mięty uparcie pachniały na moczarach.

Kiedy maj był za suchy, to w czerwcu spadły obfite deszcze. I znowu źle. Na odwrot, jak być powinno. Ulewa przemywała niebo ukosnymi strugami. Ochlapły, zmokły kraj obraz zbieł od deszczu. Zieleń dali stała się wyblakła. Tak cieknie siapawica już ósmy dzień. Dwa dni słonecznej pogody, tydzień deszczu.

Od rana szły czarne chmury z zachodu niosąc nieuchronną słotę. W Jelesni zerwał się jękliwy płacz sygnaturki. Ludzie, słysząc dzwonienie, zegnali się nabożnie i odmawiali Anioł Pański na intencję odwrócenia deszczu. Jeden Radoń, młody żonkoś, któremu karta szła zadziwiająco (był po prostu oszustem, grał znacznymi kartami), śmielszy od wszystkich, wyglądał przez okno na chmurę, splunął soczyście i jęknął:

— Psia krew, żyto mi zgnieje.

Przez cały czerwiec (który górale żywieccy ochrzczili Wielkim Majem), tartak jeleśniański stał, piły były w naprawie. Wszystkich jednak robotników zatrudniono nadal przy porządkowaniu kłocowiska, przy pracy na rampie kolejowej, przy ładowaniu desek; połowa załogi była zajęta w lesie ścinaniem i dowozem drzewa. Przedsiębiorstwo przygotowywało się do kampanii jesiennej. Ciężko i zwożono nowe sztuki na plac tartaczny. Przez tydzień Jasiek z Władkiem walili jody w korbielowskim odcinku. Warunki były ciężkie, choć płaca lepsza, za to z wiktem i spaniem nieporęcznym; do domu mieli prawie milę.

Drzewa z hukiem słały się pokotem na zboczach, skąd spychano je w dolinę potoku. Stamtąd zaś ryzowano ku drodze, gdzie cze-

ZYGMUNT FIJAS

Ziemia, żalona ziemia

Pamięci Ignacego Fika i Konstantego Troczyńskiego, przewodników w czasie zwątpienia

Ten dom z nadwiślańskiego wapienia, to smutne dno horyzontu, wtedy, kiedy wezbrany w dolinach rozleje się fłok burz i w popłochu poczyna uchodzić strwożone zboże, lub gdy wzrosła w styczniowych zaspach przewala się trzydniowa kurniawa,

dom drgający pozłótką szyb, modrymi krokusami kalenic, drzemiący w drzeniach zmierzchów co się z konieczności dziejowej wywodzą,

dom malw, złocieni, żalonskiego wołania wąskotorówki, afisza zachwalającego spółdzielczość przysiółka, otyłej fary w ocieniu śpiących drzew,

ten dom jest teraz gruchającym gołębnikiem, z którego wylatują gruchające pociski naszego braterstwa.

Dom ten odziany dymami wybuchów pośród salw armatnich zięjący urrami kontrszurmów, zdarty jak szkielet konia, opuszczony jak twarz bóstwa obróconego w niwecz

jest wciąż żywą pierś skrzydeł rozciągniętych na dwa krańca widnokregu,

skrzydeł zgłodniałych, skrzydeł broczących, skrzydeł orlich.

W ich cieniu nasze krzanie pieję swą pieśń rodatną, od której niebo zblednie.

W upał szturmów wtopieni jak palacze krążowników, w salwy dywizyj podani pośród zdychających płomieni, w skłębiony chorał chmur rozpalany błyskami fosforów, o bracia,

niech nas zwycięstwo odzieje w radość wiwatujących konwojów.

W zorzę lata idący po skraju ziemi i czasów, w powrotnym śpiewie morza co płąsa jak koń spieniony na lutniach mięśni wzniesiemy hymny nowych kalenic

Ziemia, żalona ziemia, okrutna siostra podziemi.

kali woźnice. Zdala od ogniska niósł się śpiew drwali:

Moja kochaneczka przy strumyku w lesie,
idzie woda bystra, to mi ją przyniesie.

Deszcz mżył nieustannie. Jaskółki polatywały nisko wzdłuż drogi, zszywając powietrze gwałtownymi ściegami. Ten smutny rozchlapany dzień wstał i kończył się pod znakiem pieśni. Pod obejściem Karpielowym, na tyłach domu Jędrasa pulchna Kaśka ciągnęła wodę ze studni, podnosząc pod ołowiane niebo piskliwą melodię:

Poniechał mnie jeden, ja ich mam dziesięciu.
W Przyborowie czterech, a w Jeleśni pięciu.

Mimo tak szumnej reklamy nikt nie zwrócił uwagi na zalotne, śpiewające dziewczę. Postąpiła chwilę przy studni, ciapała po kałużach szerokimi, białymi stopami; nikt się nie zgłosił na jej zew. Nawet najzaciętsze plotkarki siedziały kamieniem w domu. Zatknęła kraj spodnicy wysoko za pas, odstawiając kolana, grube jak konwie. I tak chlapała się z wiadrami po błocie do domu.

Ale nie na śpiewaniu Kaśki miał się skończyć ponury czerwcowy dzień. Przy kolacji bowiem Karpiel, rozdrażniony długotrwałą słotą, zaczął swoją starą piosenkę

— Od roku mamy we wsi koło „Wici“. Prezesem został Wojnar. Pytam się, co zrobili „Wici“? Prawda, był kurs hodowli świń. I kurs przysposobienia rolniczego; jak gnojówki zakładać. To wszystko.

— Czego wy chcecie? — oburzył się Jasiak na wiecznego malkontenta. — Żeby wam po sto złotych dodawali i zegarek złoty w prezencie? Na kursach uczył rolnika, jak ma rozumnie gospodarować i doskonalić pracę, aby była wydatniejsza, chcą wyrwać chłopca z ciemnoty, w której dotąd tkwi. Czy tego nie rozumiecie? Już nie mówmy o tym, brzuch mnie boli z tego biadolenia — zamknął opryskliwie dyskusję młodzik.

Usnęli. Tak zawsze w tej chałupie kończył się dzień stałą porcją Karpielowych narzekania. Jasiak znał na pamięć jego styl, jego ulubione chwytai, pytania, odpowiedzi. Pewnego razu spotkawszy Wojnara, zgaądał się z nim o swoim gospodarzu. Zażartował:

— No dobrze, idziemy do Polski ludowej. Ale broń mnie Boże, abym miał iść w towarzystwie Karpiela. Zanim dojdę, zamęczy mnie na śmierć swoimi żalami. Widzę go przez ćwierć dnia, gdy przychodzi z roboty a i tak mam uszy pełne jego lamentów.

Wojnar nie odezwał się, tylko uśmiechnął się lekko na pół dobroćliwie, na pół smutnie. O, to mądry człowiek, gdy się uśmiechnie, nie wiadomo co myśli.

W niedzielę przy pięknym słońcu pomazszerosował Władek z Jasiakiem na Głuchaczki. Agnieszkę znowu bolały zęby. Przewiązała sobie twarz chustą, błyskała złym spojrzeniem zza zacerwienionych powiek, pschła, niedotykalna, czarownica.

— Zatrulał je octem, ale nie pomaga.

Pod blachą buzuje morowy ogień. Kocioł cały osmolony stoi wśród garnków, w których kipi woda. Agnieszka podnosi pokrywkę, tuman pary wznosi się z nad wrzątku; odśwya kocioł, płomień buchają z dziury, nakrywa płomieni kółkami, na kółkach znowu układa garnki.

— Na cały tydzień chyba to gotowanie?

— Mam czas w dzień powszedni koło garów stać? — syknęła ze złością. — Roboty tyle, że człowiek ledwo na noc wydoli do łózka. Zgotuję sobie na parę dni. Ciepło na polu, to się i zimne przy robocie zje. A trzeba się uwijać na gwałt, póki pogoda. Na samo siano pod Koszarzyskiem zejdzie dwa dni.

— Miałś się wydać po Zielonych Świętach. Broniek miał zrobić ze sianem.

— Jak mógł kosić, kiedy cały tydzień była słota?

Nie było co z nią gadać, taki miała zawsze humor, gdy bolały ją zęby.

Położyli się obaj w wysokiej trawie wyrębu. Po kwaśnym mleku wzdęły im się brzuchy. Spoglądali na białe pierzaste chmurki, płynące wolno po głębokim błękitnie.

Tak, tu jest ładnie.

Jalu Kurek

JÓZEF ANDRZEJ FRASIK

Unoszone górą

Rośnie, kiedy rano
ogród wiewem unoszony,
w gałązkach róży dosyca
niebieski staniczek żony.

Nim się rozsiadł jabłoniom
pnie lipowo ubieli —
w rano, wionące wonią,
Zwiasławianie wiosny, anieli.

Tu mi paki podbiału
z nad szkarpy żółto wyszręla,
na płot wyjdiesz z pościelą
między bławatki chałup.

Ty mi przez płot do sąsiadki
złota wiosny nie przemycaj!
Jak na podziw pienicza
strzęsa chłód: srebra winogradki.

KAZIMIERZ WYKA

NA NORWIDYSTÓW IDZIEMY WSPÓLNIE

Nie wiem, czy „Uwagi o Norwidzie i norwidyzmie“ Adama Ważyka („Odrodzenie“, nr 16), pomyślane były jako wstęp do dyskusji. Wiem jednak na pewno, że „Uwagi“ wymienione wstępem takim stać się powinny, tyle w nich bowiem, jak Buchman w „Panu Tadeuszu“ powiada, dotkniętych zostało „punktów stanowiących i głównych“, jeżeli chodzi o wartość poezji i wpływu Norwida.

Czytelnik artykułu Ważyka i równoczesny czytelnik Norwida skłonny jest te punkty stanowiące podzielić, według stopnia zawartej w nich słuszności, na trzy warstwy: 1. Norwid, który przecież i przede wszystkim był poetą-lirykiem, a nie pisarzem-realistą lub ideologiem, którego musiałaby dyskwalifikować rozbieżność z epoką. Takiego Norwida, jedynego, który jest ważny, uwagi Ważyka prawie że nie dotyczą. 2. Norwid, który niewątpliwie czuł się obco w swojej epoce i czynił z tej obcości jeden z elementów swojej ideologii. Takiego Norwida Ważyk interpretuje metodą wielkiej socjologii i dialektyki, (termin objaśniamy niżej), podczas gdy metoda małej socjologii rzuca tutaj światła znacznie więcej, światła ponadto zgodniejszego z dokumentami i poglądami poety. 3. Wreszcie warstwa trzecia i naj-słuszniejsza: norwidyzm, który zamiast wiernie czytać teksty, wątpliwym wieńcem bzdur stroili poecie głowę w ostatnich latachilkunastu.

Na norwidystów idziemy wspólnie. Niewątpliwie, że powody chętniej apercpejji ideologicznej Norwida w pewnych kołach przedwojennych posiadają wyraźny wydźwięk polityczny, który wówczas nie był tak widoczny. Niewątpliwie to chętnie przyjęcie odpowiadało nastrojom solidaryzmu społecznego, jako płaszczyka całkiem innych interesów. Równie niewątpliwie są inne fakty, które można dorzucić do wywodów Ważyka: te stopy studiów, które miał interpretacji myślowej i socjalnej poglądów Norwida, uprawiały ich adorację ideologiczną — bez dowodów i bez skrupułów, które walcowały poglądy Norwida, jako objawienie samorodne, a jeżeli nawet uciekały się do zestawień, np. z Ruskinem czy Sorelem, to bez pytania, czy zestawienia takie poety raczej nie kompromitują, zamiast podnosić w oczach świadomego czytelnika. Po modernistycznym okresie adoracji estetycznej również bez dowodów, był to okres adoracji od innego końca, ale na podobne sposoby uprawiane.

Ale już w tej rzeczy nasuwa się pytanie, czy za każdą apercpejję swojego dzieła przez społeczeństwo pisarz odpowiada w całości, czy każda zdradza jego wstydlive i tajone, jak Irzykowski mawiał, rezerwy duchowe? Ważyk odpowiada tak i cały jego szkic jest tego gatunku odpowiedzią. Ponieważ Norwid najchętniej był przyjęty w okresie mieszczańskiej reakcji, będącej pierwszą maską faszyzmu, wobec tego w jego postawie w sposób utajony skrywają się widocznie takie skłonności i rzeczą analizy jest je wysledzić w „formule społecznej“ pisarza. Tutaj, na tym przejściu, mieści się w rozumowaniu Ważyka ogniwo, które wnioski powzięte z norwidyzmu przesuwają na samego Norwida, więcej — z tych wniosków chce uczynić wyrocznie o losie ideologicznym poety.

Tymczasem sądzę, że powody popularności pisarza wyczerpują wszystko, co on ma do powiedzenia tylko w wypadkach całkiem jaskrawych i jednostronnych. Wiadomo komu i dlaczego podoba się Rodziewiczówna, wiadomo komu i dlaczego Weyssenhoff i powody apercpejji obnażają u nich rzeczywistość wszystkie wiązadła, tajone i oczywiste. Natomiast pisarz tej miary i komplikacji wewnętrznej, co Norwid, a Ważyk jej nie przeczy, rzuca cięń zmienny, zależny od czasu, na który pada, cięń, który zawsze kreśli pewną jego sylwetkę, ale nigdy nie wyczerpuje zawartości posągu. Jeżeli o Norwida chodzi, sądzę, że obydwaj zarzys na tle epoki, które on rzucił, modernistyczny i międzywojenny, należą do przeszłości, a pomyłka interpretacyjna Ważyka na tym polega, że z zarzysm drugim, wsteczno-ideologicznym, pomylił linie całkiem nowego, trzeciego cienia poety, który począł się rysować na pustkowiu okupacji, a napewno przetrwa na polu przyszłości. Tyle, że cieniowi temu trzeba już dzisiaj wyznaczyć nowe zarzysy, oddzielać je od niedawnej przeszłości, a wówczas się okaże zapewne, że młodzież, która w czasie okupacji sięgała po Norwida, nie wpadała, jak sądzi Ważyk w koleiny dawno wyjeżdżone.

Powtarzam: istnieją u Norwida elementy, które pozwoliły na powstanie jego sylwety „ozonowej“, ale nie są to elementy najważniejsze i te, do których przyszłość należy. Jestem na razie gołosłowny, dowody niżej. Ale wobec tego, krocząc w jednym szeregu na onegdajszych norwidystów, występuję z niego, kiedy z tą samą bronią każą mi iść na Norwida. Potrzebne są na niego bronie i metody inne.

Norwid nieobecny

GDZIE NORWID ROZMIJAŁ SIĘ Z EPOKĄ?

Wkraczamy w przypuszczenia istotniejsze. Norwid dlatego był chętnie przyjmowany przez norwidystów przedwojennych, ponieważ ich poczucie zagubienia w epoce, ich szukaniu ostoi przeciw prądom postępowym, nadawał sankcję stoicką, uzasadniał, że rozminięcie się ze swoją epoką jest znamię wyższości. Sam zaś dlatego doznawał tych uczuć, ponieważ był drobnym szlachetką polskim, zagubionym w cywilizacji Zachodu, „bo przybył z kraju zacofanego gospodarzo nie przeniknął do tego świata“ — ponieważ „widział (w nim) jeden zatarty obraz wrogiej, odpychającej cywilizacji miejskiej, chaotycznej i bezkierunkowej“. Taka jest, błyskotliwie i na pozór przekonująco, sformułowana teza Ważyka. Przymierzmy ją do Norwida rzeczywistego.

Niewątpliwie w sposobie bycia codziennego, w swoim rekompensacyjnym snobizmie zdeklasowanego szlachcica, który nie przestał śnić o przodkach i koligacjach (babka Sobieska), który wzorem szlachcica zagrodowego uważa się za równego wojewodzie i księciu Adamowi Czartoryskiemu wspomina do Hotelu Lambert, że ten go nigdy nie odwiedził w chętnych progach imci Norwida, stanowi nasz poeta nieraz rozbrajający, a nieraz tragiczny okaz człowieka, który jeśli się nie wieszka, to przynajmniej chętnie ociera o pańską kłamkę. To snobistyczne mówienie zaważyło ciężko na życiu poety, ale żeby ono zdeterminowało cały jego stosunek do ruchów postępowych, i odsunęło poetę od kontaktu ze współczesną mu rzeczywistością, te wnioski Ważyka są bardzo dowolne. Oto dowody.

O ile Norwid był rzeczywistie skłócony ze swoim czasem, a gdzie skłócenia tego całkiem nie dostrzegamy? Musimy, by odpowiedzieć, wyjaśnić pewne obserwacje z zakresu małej socjologii. Najpierw o samym przeciwstawieniu: mała — duża socjologia. Dialektyka marksistowska, którą stosuje Ważyk, należy do zakresu wielkiej socjologii, która stwarza i opisuje ogólne ramy dialektyczne przemian kulturalnych, by później w wycinku takich ram pomieścić miniaturę jednego poety. Małą socjologią nazywam metody skromniejsze, ograniczające się do węższych prób rozwiązania — np. konstrukcja prądu literackiego, konstrukcja pokolenia, powody sukcesu lub niepowodzenia. Stosunek podobny, co mała i duża chirurgia: i tu, i tam, **lancet musi być czysty**, sposób konstruowania dowodów możliwie ścisły.

Według małej socjologii jak wygląda casus Norwida? Dlaczego, jak Ważyk słusznie przypomina, jest to „twórczość... kryjąca się poza nurtem romantyzmu polskiego, a nie pokrywająca się z pozytywizmem“? Romantyzm polski składa się z dwóch pokoleń: pierwsze, generacja trzech wieszczów, debiutująca przed powstaniem listopadowym, później wyrwana z kraju i biegu jego życia kulturalnego na wielką emigrację. Pokolenie drugie — Norwida, Lenartowicza, Zmichowskiej — debiutuje około 1840 roku, niewiele się orientując w dokonaniach poprzedników. Zamącone zostało przez to normalne następstwo pokoleń, ich dziedziczenie doświadczeń — romantycy krajowi rozpoczynają od stanów hiperromantycznych, już dawno przewyżczonych przez starszych romantyków. Gdy tamci są już wieszczami, ci dopiero stukają do przedszkola romantyzmu.

Kiedy Norwid się znalazł na emigracji, na tę sytuację zareagował w paradoksalny i jemu tylko właściwy sposób. Inni jego rówieśnicy — Lenartowicz, Miłkowski — gdy pozdziliili los emigracji, nie wysnuli z tego żadnych szczególnych wniosków. Natomiast Norwid, żeby tak rzec, sam siebie adoptował na następcę pierwszej generacji. Sam w sobie widział całe drugie pokolenie wieszczów, zapragnął kontynuować ten sam typ profetycznej i wielkiej poezji, chociaż czas już nie był po temu. Jego rówieśnicy wcale nie byli przysposobieni do tego i gdy upływały lata po roku 1848 Norwid coraz bardziej się przekonywał, że jego poczucie przynależności do całej drugiej a wysokiej fali wielkiej emigracji jest tragicznym złudzeniem. Listy jego przyniosły mnóstwo świadectw tego i skarg Norwida na przynależność „do pokolenia sierocego...“, które jest na hekatombę przyszłości“ nikt nie pamięta, kto nie pamięta o tej prostej a z tekstów poety z całą oczywistością wynikającej hipotezie. Zaś stoicka jego duma wobec trzech wieszczów jest odwróconym obliczem tej pomyłki w określeniu swego miejsca socjalno-ideowego. Dlatego zaś Norwid właśnie się pomylił, na to nie odpowie nam jego przynależność klasowa. „Szlachty republikańskiej“, jak mawiał, zdeklasowanej we Francji, było wiele — pomylił się tylko on. Musiały działać powody autonomiczne, a wiadomo, że dialektyka dopuszcza takie powody, działające na sytuację obiektywną i przetwarzające jej obraz.

Tak więc przyczyny, dla których twórczość Norwida nie mieści się w normalnym roku ewolucyjnym naszej literatury, prościej od dużej wyjaśnią mała socjologia. Czas na postawę Norwida wobec Zachodu. Stanowi-

sko jego jest niewątpliwie dwoiste, jak psychologowie powiadają — ambiwalentne. Kto pragnąłby przykroć Norwida do jednego ze schematów: **zrozumienia przyświadczonego** lub **ironicznej pogardy** wobec świata, ten znajdzie teksty na poparcie każdego z tych twierdzeń. Pogarda: „Europa jest to stara wariatka i pijaczka, która co kilka lat robi rzezie i mordy bez żadnego rezultatu cywilizacyjnego ni moralnego. Nic postanowić nie umie — głupia jak but, zarozumiała, pyszna i lekkomyślna“ (Listy, II, 443). Zrozumienie: „W wirach wiatrów, i w gromach, i w błyskawicach i w opoki trzesieniu pokładają się regeneracyjne prawdy, nie w barkarolach“ (Listy, II, 120). Prawdą zaś Norwida jest współistnienie tych obydwu stanowisk. Kto jedno z nich tylko ujrzy, wyciągnie fałszywe wnioski o nastawieniu poety.

Nię przeczę również, że skarg i ironicznych wyskoków przeciwko cywilizacji przemysłowej nie brak u Norwida. Charakterystyczny jest jednak ton tych skarg: są to wystąpienia **moralisty** o **argumente satyrycznym**. Można naturalnie powiedzieć, że moralistyka stanowi swoistą ucieczkę od rzeczywistości przeżywaną, na razie jednak nie wartościujemy, tylko patrzymy na konsekwencje. Otóż Norwid z tą samą zaciętością satyryczną moralisty widzi sielankowe, niżej poziomu europejskiego toczące się życie wsi polskiej i swojej klasy społecznej. Jego zmysł obserwacji wyostrzony jest tutaj jeszcze bardziej. Słowem, wszystko co podpada pod jego uwagę, staje się w potrzebie materialem **niezależności moralisty**, a w takim razie wysoki pamfletyczny przeciwko „fabrycznej ekstazie o kęs chleba“ nie są, jak Ważyk pragnie, dowodem specjalnej i tylko na ten przedmiot skierowanej niechęci. Są tylko fragmentem pewnej postawy satyryczno-moralistycznej, od której można w ogóle odmawiać praw Norwidowi, ale nie wolno twierdzić, że Norwid tylko jedne cięsy wybiera, innych unika.

Istnieje znamienity list Norwida do Lenartowicza z czerwca 1866 roku. Przeczytajmy najpierw wyjątki z niego: „...przejdźmy do przypowieści dwóch z narodu, gdzie eksploatacja kolei żelaznych i fabryk dymy i kupiectwo mniej zapowietrzyły niż gdzieindziej Arkadyjską aurę wiosenną“ Prawda, że Ruskin i antycywilizacyjna sielanka? Czytajmy dalej: (są pisarze, którzy) „bynajmniej nie utrudzi z jednej strony sarkac na bałwochwalstwo przemysłowe zagranicznych ludów, z drugiej poetyzować nasze święte tradycje, często w języka samego monumentach zakopane, jak żelazne słupy. Naprzykład: śliczne owo wyrażenie, datujące się od czasów, kiedy jeszcze na zamkach miano katy w pogotowiu i kiedy się wołało na hajduków „dajże go katu“... To wszystko zaś ani bałwochwalstwem, ani bluźniersstwem nie jest, skoro się otoczy kwiatami bzu — i wonią malin — i zielonością“.

Jako moralista Norwid sarka nieraz. Jako obserwator i socjolog, pojmujący układ, siłę i organiczną, cywilizacyjną składność Zachodu jest on najmniej w tej cywilizacji zagubiony **pośród wszystkich wielkich naszych poetów**. Jeżeli zżyma się na tę cywilizację, to dlatego, że rozumie on na sposób niedostępną ani Mickiewiczowi ani Słowackiemu, iż stoi w obliczu wielkiego i skończonego tworu człowieka, do którego Polakom i ich cofniętej cywilizacyjnie ojczyźnie jest jeszcze daleko. Norwid, jak nikt u nas w jego epoce pojmuje, że społeczeństwa zachodnie są układem skomplikowanym, pełnym wysiłku cywilizacyjnego, o którego natężeniu Polacy nie mają najmniejszego pojęcia. Zgadzać się, że Norwid jako katolik i moralista kierunek społeczeństw zachodnich pragnąłby widzieć inny, ale Norwid nigdy nie uważa **samemu faktowi tych społeczeństw**, samej doniosłości cywilizacyjnej Zachodu, (a to mu Ważyk podsuwa), za coś drugorzędnego, Polaków zaś za przyszych nauczycieli Zachodu, jak uważał jeszcze Mickiewicz, jak rolę się Słowackiemu: „Kiedy naprawdę Polacy powstaną“...

Sprawdźmy to przynajmniej na jednym przykładzie: zawartość ostrzeżeń satyrycznych, wymierzonych w cywilizację polską. Jest ona zawsze ta sama: **niedokształcenie cywilizacyjne Polaków**. Czy będą to czcionki, które się zawsze rozsypują w polskiej drukarni, czy gazety, które zawsze późniejsze są niż cudzoziemskie, czy wydawcy, których nie ma, czy inteligencja, która w polskim człowieku zbiorowym mieści się w „pośladowych nizinach“, czy szlachcic, który z ekonomiczną wyższością spogląda na arcytwory Zachodu, zawsze brzmi ten sam motyw: kapuściani prowincjusze wobec Europy. Pewnie, że Norwid w swoich dobrach, gdyby je posiadał, nie zakładałby fabryk, i nie wiadomo, czy znośliłby pańszczyznę, ale poczucie różnicy cywilizacyjnej między Zachodem a Polską posiadał, jak nikt u nas.

Niestety, piszę dosyć gołosłownie. Rozmiar artykułu nie pozwala na cytaty dowodniejsze. Lecz przynajmniej jednego cytatu nie mogę wypuścić, tak jest wymowny. Z obłąconego w 1871 roku Paryża Norwid pisze: „końskie mięso... psie, kocie, szczurze... mieliśmy

w jatkach. Światło do dziś nie gazowe, ale tępe i mdłe dla ogromnego miasta, bo z ciężkiego oleju i świec — ścieki dwumilionowej stolicy zatrzymane dla niemożności wywozu — powietrze pełne krwi ludzkiej — trzy zarazy: czarna ospa, tyfus i dysenteria. — Pociski ogniste, przez trzydzieści dni i nocy zrywające piętra domów i czaszki ludzkie. Przy tym wszystkim obywatele wotowali prezydentę — wotowali merów — i dzienniki krytykowały ostro i codziennie władzę, ludzi publicznych i czyny ich, i całego narodu wartości lub błędy i winy. Taki naród „nie zginął jeszcze“! — Czy pisze to „przypisysz z kraju zacofanego“, jak gąsienica w kokon schowany w swoje przerażenie, czy ktoś olśniony dojrzałością cywilizacyjną, która nie słabnie nawet w najcięższych chwilach i tej dojrzałości nadający wartość wysoką?

NORWID NIEOBECNY

Ideologia poety czy jego wypowiedzi w listach nie wiele by znaczyły, gdyby sam rozdział jego poezji, sam typ wyobraźni, popierał sąd Ważyka o rozminięciu się cywilizacyjnym Norwida. Tymczasem co jak co, ale właśnie sztuka poetycka Norwida najmocniej kruszy podobną tezę. I może dlatego w proporcji uwag o norwidyzmie tak mało ich jest o Norwidzie-poezie.

Drogi dzisiejszego poety nie zejść się na pewno z Norwidem w sposób, który u Piechala i innych uchodził za kontynuację Norwida: naśladownictwo jego rytmu i frazy, pastiche ulubionych obrazów Norwida. Dobrze to na jeden raz, niemożliwe jako zasada. Zejdą się natomiast według innych cech wyobraźni Norwida i tutaj dopiero, cechy owe mając na myśli, poczynamy proponować, jak ma wyglądać ten trzeci, dla nas ważny cień postaci Norwida. To zapatrzenie w cywilizację, w świat historycznych i kulturalnych osiągnięć człowieka, to wciągnięcie w podstawowy materiał wyobraźni elementów kultury, elementów sztuki i znaczących postępowań człowieka, wciągnięcie ich na miejsce zajmowane u innych poetów przez symboliczny obraz przyrody czy bezpośrednią wypowiedź liryczną, jest główną dyspozycją artysty poety. Nie mamy na przestrzeni całej naszej poezji nikogo, dla którego nie powabny, ale wyprany z treści humanistycznej świat przyrody, nie egotycznie podawany świat doznań własnych, ale obiektywne świat kultury był przyrodzonym światem poetyckim, jak to ma miejsce u Norwida.

Ta tendencja wyraża się u Norwida w przerożny sposób. Przynajmniej niektóre dowody wskażemy w tekstach. Nie zliczyć u niego obrazów, gdzie przyroda widziana jest przez podobieństwo do tworu kulturowego, a zatem zhumanizowana i opanowywana jak postuluje to poezja współczesna.

Już ci grom bił na niebie i deszcz lał na padół
I wielkie smugi złotych błyskawic na ścianie,
Jakby adamaszku żółtego zdzieranie
Tam i ówdzie w mieszkaniu czyniły niepokój!

To jest Norwid.
Jeszcze znamiennejszym sposobem jest to, że Norwid, który absolutnie nie potrafił i nie chce nazywać swoich uczuć wprost, postępowanie człowieka, znaki kultury obiektywnej nazywa doskonale i bez jednego zbędnego słowa wystarczają czytelnikowi jako ekspresja:

... Czulość bywa jak pełny wojen krzyk,
I jak szemrzących źródeł prąd,
I jako wtór pogrzebny...
I jak plecionka długa z włosów blond,
Na której wdowicę nosił zwykły zegarek srebrny...

Nie mamy zamiaru wskazywać wszystkich zastosowań tej głównej tendencji wyobraźni Norwida. Chodzi nam o cel tej dążności: wyobraźnia, metaforyka i słownictwo poetyckie Norwida obracają się pośród atmosfery naturalnej, wśród kulturowego i historycznego dziedzictwa Zachodu. Dziedzictwo to nie jest tematem tylko, jak bywa u innych naszych poetów, ale samym tworzywem, samym miąższem wyobraźni. Jeżeli przypomnieć książkę I. Fika o języku poety, zyskujemy dowód, że to przesylenie cywilizacyjne, ale nie charakteru muzealnego lub czysto zdobniczego, jak sądzono za modernizmu, sięga aż do leksykalnej powierzchni jego stylu.

Powiedzieliśmy — przesylenie, ani muzealne, ani zdobnicze. Nie napotkamy u niego, poza wyjątkami w typie „Rzeczy o wolności słowa“, popisu erudycyjnego ani baroku ozdób kulturowych. Celem wyobraźni, nie zawsze osiąganym — słabościom i upadkom Norwida-poety, że „Zwolonom“ i „Quidamem“ u czoła nikt nie przeczy — ale celem zawsze postulowanym jest precyzja sensu. Jasność obiektywna, jasność wynikająca ze zderzeń pojęć i znaczeń, jest metą tej poezji. Zważmy dalej, że w tym wymiarze jest to poezja u nas jedyna, chociaż na Zachodzie znajdziemy do niej analogie.

A teraz zapytajmy. Omawiane cechy poezji Norwida są faktem ważniejszym, niż ten czy ów sąd poety, ta czy owa, jemu najdroższa idea, ten czy ów sarkazm antyprzemysłowy, są to bowiem podstawowe fakty jego poezji. Nie filozofa, nie prozaika-realistę, lecz poetę mamy przed sobą. Jeżeli zaś tak, ktoś z dwójga nie ma racji: albo poeta elementami cywilizacyjnymi ścący swoją wyobraźnię, albo krytyk, który z braku takiej chętniej postawy czyni mu zarzut główny. Wybór jest jasny, dowody oczywiste.

Zapytajmy dalej: czy to dążenie do precyzji obiektywnej, zamiast rozmazania uczuć, wszystko jedno czy będzie osiągnięte drogą przemierzaną przez Norwida, czy na sposoby inne, jest dążeniem obcym współczesnej poezji i sprzecznym z jej przyszłością? Czy wyższa waga konstrukcji obiektywnej, olśniewającej prawdą lub nowością, wyższa nad ekspresję indywidualną, jest nam również obca? Pewnie, że mogą być inni nauczyciele tej metody, ale w polskiej tradycji poetyckiej, zwłaszcza na materiale dziejów i kultury, Norwid jest nauczycielem jedynym.

Dlatego młody poeta, który w latach okupacji sięgał po Norwida, niechaj i dzisiaj to

Po prostu

W stronę klasyków

Powiedzenie, że dwaj najwięksi powieściopisarze to Balzac i Proust, ponieważ Balzac stworzył powieść, a Proust ją zabił, nie jest tylko żrącym paradoksem. Kiedy pokolenie literackie Gide'a i Prousta porównamy z generacją Balzaka i Stendhala albo jeszcze lepiej z generacją Woltera i Diderota, uderza nas z całą jasnością wyczerpanie, więcej nawet, ostateczne zamknięcie się jednej z największych tradycji artystycznych i kulturalnych. Jeżeli zechcemy znaleźć termin dostatecznie dobitny i szeroki, aby charakteryzował to, co jest wspólne w twórczości Joyce'a i nadrealistów, Celine'a i Mauriaka, Gide'a i Tomasza Manna, Prousta i Bernanos, odnajdziemy tylko jeden, a jest nim abutyzm. Wszyscy ci pisarze mniej lub więcej świadomie i bezwzględnie dążyli do doprowadzenia pewnych praw moralnych aż do absurdu, do ukazania ostatecznych, granicznych postaci sztuki czy miłości, doskonałości czy zła, zbrodni czy szaleństwa. Dla każdego pokolenia wybór tradycji literackiej i dziedzictwa kulturalnego jest jednym z najważniejszych zagadnień. Nigdy nie był on tak trudny jak obecnie. Z każdym rokiem wojny nasz sąd o wielkich pisarzach ostatniego pięćdziesięciolecia stawał się coraz bardziej bezwzględny i surowy, patrzmy na nich dzisiaj jak na wielkich morderców, morderców idei, morderców postaw moralnych, morderców gatunków literackich. Niektórych z nich możemy jeszcze podziwiać, ale z całą jasnością wiemy, że dalsza kontynuacja drogi, jaką szli, jest niemożliwa; punkty graniczne zostały osiągnięte. Możliwe jest jeszcze imitatorstwo i naśladownictwo, ale będzie to tylko galwanizowanie trupa. Musimy szukać nowych, innych mistrzów.

Przełom, o którym piszę, nastąpił nie tylko w świadomości artystów i pisarzy, nastąpił, co jest o wiele ważniejsze, w szerokich rzeszach czytelników. W ciągu lat okupacji mogliśmy zaobserwować wszyscy coraz bardziej powszechne odwrócenie się czytelników od literatury ostatniej doby. Nie żaden intelektualista, ale zwykły, szary czytelnik sięgał coraz częściej po Balzaka i Prousta, po Tolstoja i Stendhala, a nawet po powiastki filozoficzne Woltera i Diderota. Przyczyny, które nim kierowały, były bardzo proste. Lata walki, grozy i terroru uczyły ludzi myśleć serio, czytelnik szukał książek, które by mu pomogły zrozumieć to co się dzieje. I oto obraz świata, jaki znajdował u pisarzy dwudziestolecia, nie tylko że był całkowicie absurdalny i bezsensowny, ale również zupełnie sprzeczny ze zwykłym, ludzkim, codziennym doświadczeniem. Wzemy trzy przykłady, trzy książki, trzy „nagrody młodych“: Choromańskiego „Zazdrość i medycyna“, Andrzejewskiego „Ład serca“, Piętaka „Młodość Jasia Kunefała“. Świat u Choromańskiego jest biologiczno-meteorologicznym kosmosem. W powieści Andrzejewskiego po prostu... straszny, szatan czai się za postępkami ludzkimi. U Piętaka wszystko jest różowym, sentymentalno-erotycznym snem, z rzeczywistości wsi pozostają tylko pasące się krowy i pławiące się konie.

Kiedy rozmawiamy o naszych znajomych, mówimy: Maria pracuje w województwie, Stefan to pijak, Wanda jest dobrą, ale głupią dziewczyną... itd. Podajemy fakty, wyjaśniamy motywy postępowania, oceniamy charakter. Patrzymy na ludzi z zewnątrz, sądzimy ich po czynach i po tym co mówią. Oczywiście możemy się mylić i mylimy się często. Tym niemniej jednak sądy, jakie wypowiadamy, są w jakiś sposób zgodne z rzeczywistością i z doświadczeniem, są, co najważniejsze, sprawdzalne. Gdyby nie były sprawdzalne, nie moglibyśmy się spierać i wzajemnie przekonywać, a spieramy się często. W ten właśnie sposób pisali o swoich bohaterach klasycy realizmu. Kiedy natomiast czytam u Prousta, że bohater jego po zanurzeniu ciasteczka w herbacie doznał nagłego olśnienia i wizji dzieciństwa, możliwe, że dowiedziałem się o wielkim psychologicznym odkryciu, ale jest ono niesprawdzalne. Kiedy mi Joyce na stu stronach relacjonuje (bez przecinków i kroppek) przedsenne majaczenia swojej bohaterki, nie tylko że mnie to nudzi, ale również nie ma nic wspólnego z żadnym rzeczywistym doświadczeniem, z konkretną wiedzą o jakiejkolwiek żywej osobie. Opis ludzkich czynów zmusza pisarza zawsze, aby się liczył z prawdopodobieństwem i rzeczywistością; opis myśli i marzeń pozwala mu fantazjować, ile dusza zapagnie. Tak zwane „odkrycia“ psychologiczne nowej powieści utrudniły, więcej na-

czyni dalej. Jego intuicja jest słuszniejsza od mylących cieniów przeszłości. A jeżeli w te cienie wpadnie, jeżeli np. urzeczy go Norwida poezja pracy, niech pamięta jedno, że Norwid tylko tyle powiedział, iż „pewna proporcja użyteczności jest niezbędna dla piękna“. Tę proporcję użyteczności Norwid wyobrażał sobie po swojemu, ale choćbyśmy na bok odłożyli jego wyobrażenie, zasada pozostaje słuszna. Tak postępując proponowane mu zarysy trzeciego cienia Norwida wypełni treścią żywą.

Z takim zaś Norwidem drogi młodego poety trzeciej niepodległości i nauki, jakich szuka, nie są sprzeczne.

Kazimierz Wyka

wet, uniemożliwiły wiedzę o człowieku. Jeżeli może być tysiąc różnych rodzajów miłości, egoizmu, podłości i zdrady, jeżeli każdy z nich jest w jakiś sposób usprawiedliwiony, słowa, jakich używamy codziennie: szlachetny i uczciwy człowiek, karierowicz i drań, przestają cokolwiek znaczyć. Porozumienie między ludźmi staje się niemożliwe. Po absurdalności założeń, niesprawdzalność psychologiczna i niemożność wydania osądu moralnego odstręcza dzisiaj czytelnika od powieści lat międzywojennych.

Na tym jeszcze nie koniec. Pisarze obecnej doby zdradzali dziwną i niczym nieuzasadnioną skłonność, aby przedstawiać świat oczami skretyniałego woźnego w biurze transportowym, dzwiki obciążonej dziedzicznymi, babci sprzedającej bilety do publicznej ubikacji lub nudzącego się śmiertelnie hrabiego, cierpiącego na ataki epilepsji. Oczywiście, taki obraz świata, skrzywiony w samym założeniu, nie mógł odpowiadać prawdzie, nie mógł ukazywać całego bogactwa realnych związków, łączących ludzi ze sobą.

Uwagi i notatki

Zdaje mi się, że jedną z najtrudniejszych rzeczy dla Polaka jest znalezienie właściwego stosunku do rzeczywistości. Z istniejących elementów, rzadko i nieliczni umiemy stworzyć sobie obraz, który byłby najbliższy danym obiektywnym. Wikłamy się w ogólnikach i popadamy albo w entuzjazm, albo w depresję i w pesymizm. Zamiast uczuciowego opanowania i dyscypliny trzeźwego osądu, wrzawa wewnętrzna i tumult kierują naszymi poczynaniami. Na każdym kroku brak nam właściwej i trafnej miary. Kto wie, czy nie dlatego tak często rozmiłujemy się z rzeczywistością i jej subiektywny, wyimaginowany kształt fałszywie bierzemy za prawdziwy. Żaden chyba z narodów nie wplątywał się w tak rozliczne historyczne błędy, co naród polski. Raz po raz szturmujemy cnotami nieistniejące mury majaków, a wiele z naszego honoru i z naszej godności poświęcamy złudzeniom. Budzimy się ze snu zawsze za późno, już wśród krwi, dymów i ruin, nie pojmując dlaczego i jak dojąć mogło do katastrofy. Lubimy wówczas kajać się, gromadzić porachunki sumień, szukać w cierpieniu siły oczyszczającej, a ostatecznie znów obraz rzeczywistości zaciemniać, z błędnych przesłanek budując błędne perspektywy na przyszłość. Życie w tym kraju całym nieraz pokoleniom upiwa na pomyłkach.

Mówi się często o tragicznym losie Polski. Jeszcze jedna pomyłka, przenosząca ciężar zagadnienia na niewłaściwą płaszczyznę, w wymiary irracjonalnego losu, który według niezbadanych praw rozdziela pomiędzy ludźmi i plemionami dobrodziejstwa, kary i ogniowe próby. Z takiej postawy zawsze musi w konsekwencji wynikać nurt mesjanistyczny, niosący w sobie wiele odcieni, od teologicznej koncepcji dziejów począwszy, na imperializmie kończąc. Musimy, choćby kosztem najostrzejszych przekształceń, ujrzeć narzecząc rzeczywistość taką, jaką jest, przekreślając wszystkie pozory i złudzenia, nawet płynące z dobrej woli i prześwietlone najlepszymi intencjami. Od wartościowania intencji do wartościowania konkretnych faktów i czynów — oto droga, na którą należałoby nam wejść jak najprędzej.

Nie bez głębszych przyczyn rozgłos i wielkość Conrada przypadają właśnie na miniony okres międzywojenny. W świecie conradowskim, w treści, w stylu i w pojęciach, które go wyrażały, wyznawcy „Lorda Jima“ i „Zwycięstwa“ znajdowali wzniosłą i patetyczną obronę jednostki, oraz obronę tych wartości moralnych, które narastające ze wszystkich stron faszystym zaciekle atakowały i kruszyły. Zagłębiając się w magiczną krainę Patusanu z przyczyn dość podobnych do tych, które w tych samych latach zbliżyły wielu intelektualistów do wartości doktryny katolickiej. Problem Jima, mitologizujący nakaz wierności samemu sobie, jest w istocie problemem ludzi atakowanych i zagrożonych w swoich dotychczasowych formach istnienia. Świat, w którym żyją ludzie Conrada, jest światem dziewiętnastowiecznego kapitalizmu i liberalizmu. Conrad nie potępił tego świata. Ale Heyst i Jim rzu-

I dlatego, i tylko dlatego czytelnik sięgający dzisiaj po książki Balzaka, Stendhala czy Orzeszkowej znajduje w nich, mimo upływu lat, obraz świata znacznie bardziej prawdziwy, rozsądny i podobny do dzisiejszej rzeczywistości, niż w najgłośniejszych utworach nowych pisarzy. Jest to świat, w którym istnieją bogaci i biedni, ludzie uczciwi i kanalie: świat, w którym istnieje renta gruntowa, procent z kapitału, hipoteka; świat, w którym forma rządów wpływa na ludzkie życie; świat, w którym człowiek działając trafia i przełamuje opór istniejących urządzeń społecznych.

O sprawach trudnych i ważnych można i należy pisać w sposób jasny i zrozumiały. Przed wojną wydawało się nam, że istota zagadnienia realizmu kryje się w tajemnicy zespołu środków stylistycznych. To nieprawda. Realizm to zrozumienie, że obraz i los człowieka kształtuje nie tylko biologia i psychologia, ale historia i przede wszystkim historia. Historia nas musiała, niestety, sama tego nauczyć! W ostatnim pięcioleciu przed wojną mistrzem młodej generacji poetów stał się Słowacki; Słowacki wizjonerski; Słowacki z okresu mistycyzmu; Słowacki z „Króla Duchą“. Przesłuchując się obecnie wielu porankom poetyckim, zauważyliśmy wszyscy, że nie Słowacki, ale Mickiewicz najsilniej oddziaływa na słuchaczy. Nie zapomnę wrażenia, jakiego doznałem usłyszawszy nagle:

Sto lat mijają, jak Zakon Krzyżowy

We krwi pogaństwa północnego brodził;

Już Prusak szyję uchylił w okowy

Lub ziemię oddał, a z duszą uchodził.

My dobrze wiemy, co to znaczy wszystko rzucić i z duszą uchodzić! Mickiewicz — to jest właśnie owa prawda historii, prawda realizmu. Czytelnik wcześniej od nas, pisarzy, dokonał wyboru mistrzów, wyboru tradycji literackiej, wyboru dziedzictwa kulturalnego. Czytelnik odszedł w stronę klasyków, to znaczy w stronę Mickiewicza, Balzaka i Prusa.

Jan Kott

Każda epoka, kształtując obraz człowieka, wytwarza jednocześnie swoje własne pojęcia — słowa, które rozbrzmiewają naraz i niespodziewanie rozległą treścią i dźwięczną inaczej, niż przedtem i potem. Średniowiecze posiadało język, który brzmiał teraz dla nas całkiem inaczej, niż w ustach Bernarda z Clairvaux, gdy przemawiał do Krzyżowców, lub w ustach Tomasza z Akwinu wykladającego w Sorbonie. Język sporów religijnych w wieku XVI wydaje się nam suchy i sztywny, często wprost niezrozumiały, gdy sięga w subtelne odcienie różnych interpretacji dogmatów. Wówczas musiał być dość żywy, jeśli pogrążył we krwi i w zniszczeniu ogromną część Europy.

Kosztownie i zamieranie pewnych pojęć zawsze oznacza koniec określonego stosunku do rzeczywistości. Każdy, kto ma do czynienia z językiem, jako narzędziem pracy, zdaje sobie sprawę, ilu wyrazów niepodobna teraz używać, jak wiele z nich spełzło i skruszało. Cokolwiek chcemy powiedzieć, cokolwiek opisać — zawsze staje przed nami konieczność poszukiwania nowych słów, potrzeba wydobycia ze starych pojęć nowych akcentów i odcieni.

Jerzy Andrzejewski

W poprzednim (18) numerze „Odrodzenia“ z dnia 1 kwietnia: Leopold Staff: Poezja (Martwa pogoda). Zniszczenie pomnika Chopina. U kresu. Burzliwe niebo. Dwoistość. Przecięcie skowronka. Zatory freski. — Zbigniew Bienkowski: Rzeczywistość — Zofia Nalkowska: Wezły życia (6). — Mieczysław Jastrun: Czytanie Homera. Na rodzinnych polach. Pomnik. — Paweł Hertz: Do przyjaciół Moskali. — Tadeusz Breza: Próby na nic. — Jerzy Zagórski: Ballada o Serbilu. — Stanisław Dygat: Odczyt o Polsce. — Stanisław Rysard Dobrowolski: Wezwanie. — Wojciech Zukrowski: Pod śniegiem. — Artur Marja Swinarski: Świecić pożar! — Jan Kott: Powrót do rzeczywistości w poezji. — Stefan Otwinowski: Uczciwa inżyniera Pruta. — Jerzy Brzozkiewicz: Monika. — Juliusz Kydryński: Biała noc. — Jan Kott: Po prostu. O katastrofizm. — Kronika. — (kt): Przegląd prasy. — Tadeusz Kwiatkowski: „Miesięcznik Literacki“ — Stanisław Dygat: Mieszaniec. — 4 ilustracje (m. in. 2 rysunki Eryka Lipińskiego). — 12 stron.

W OCZACH PISARZY

Ankieta „Odrodzenia“

Redakcja „Odrodzenia“ zwróciła się do pisarzy polskich z następującym listem:

Pragnąc zobrazować możliwie najbardziej dokładnie życie literackie lat wojny, zwracamy się do Pana (i) z prośbą o wzięcie udziału w ankiecie zbiorowej, którą organizujemy.

Oczekujemy od Pana (i) wypowiedzi, w której uwzględniliby Pan (i) w sposób, jaki Pan (i) uważa za właściwy, swój stosunek do rzeczywistości wojennej, widzianej oczami już wyzwolonymi; wpływ, jaki ta rzeczywistość wywarła na Pańskie zainteresowania i zamierzenia artystyczne na przyszłość.

Prosimy również o uwzględnienie szczególnie własnej twórczości lat wojny i udostępnienie nam jej w stopniu, jaki Pan (i) uzna za słuszny.

JAK WIDZĘ RZECZYWISTOŚĆ WOJENNA OCZYMA WYZWOLONIMI?

Przez jakiś czas widziałam ją, ale nie przyjmowałam do świadomości, raczej przyjmowałam tylko formalnie, zgodnie z wymogami samoobrony, po prostu mówiąc, dlatego, żeby nie zwariować. To znaczy, że zjawiska leżały w mojej świadomości widziane i widziane, ale nie zasymilowane, nie wessane; leżały jak obce organizmy, jak surowce nie przerobione na mnie samą. Nie stawały się mną.

Ten stan rzeczy nie dał się długo utrzymać. Trzeba było zastąpić go jakąś koncepcją. Przyjęłam taką, jaka mi się narzucała, przy tym łatwą i uproszczoną. Oto świat składa się z „nich“, to znaczy z czegoś niepojęcie straszliwego, opiętego w mundury, chrzęszczącego skórą, szczękającego bronią i wyzierającego otworami oczu z masek pod hełmami. Z drugiej strony — ofiary i ci, którzy wszelkimi sposobami walczą przeciw zamierzonom „tamtych“.

Ta koncepcja również nie dała się utrzymać. Stało się rzeczą jasną, że oprócz „nich“, oprócz ich ofiar i tych, którzy z nimi walczą, są jeszcze ci najliczniejsi, całe masy nie należące do żadnej z powyższych kategorii.

Przynależność do ofiar, czy do walczących sama przez się kwalifikuje reakcje na to, co się dzieje. Jakież jednak są reakcje tej trzeciej, najliczniejszej kategorii?

Obserwowałam je ciągle. Ale obserwować to jeszcze nie znaczy zrozumieć ani rozgrzyźć.

W pierwszym okresie wojny pisałam, a raczej przygotowałam pisanie dwóch powieści wojennych, psychologicznych o tyle, o ile może to znieść tematyka wojenna. W ostatnim okresie zajmował mnie już raczej ów wyżej wymieniony, tak trudny do pojęcia a jeszcze trudniejszy do rozgrzyzienia problem reakcji tej trzeciej, najliczniejszej kategorii ludzi. Jacy są?

Bo przecież hitlerizm wytwarza na każdym kroku sytuacje, przez które nie podobna przebrnąć uczciwą nogą. Co więcej, sam nawet fakt, że się istnieje, jest już prawie że zgodą na rzeczywistość, a więc jakby kompromisem. Hitlerizm zmienia wszystko, co jest w jego orbicie. A być poza orbitą hitlerizmu rozlanego po świecie, to tak prawie, jak być na ziemi nie kręcić się z nią razem dokoła słońca. Pod wpływem tych rozważań zaczęłam myśleć o trzeciej, obecnie najważniejszej dla mnie powieści. Miałam duże pole obserwacji: Warszawa, podwarszawskie miasteczko, letnisko, wieś. Przez dziewięć miesięcy chodziłam na t. zw. „rajzy“ z kawałkiem tkanin w koszyku, na handel w stronę Bugu, od domu do domu. Przez cały ten czas zarobiłam zaledwie 4094 zł, ale widziałam i nauczyłam się wiele. Zawsze i wszędzie widziałam tę trzecią, najliczniej reprezentowaną kategorię — widywałam ofiary, miałam kontakt z walczącymi. Niestety tak się składało, że długo nie udawało mi się ich zobaczyć w cudownej chwili walki.

Aż przyszedł czas, że ujrzałam mundury opięte nie na manekinach zrobionych z samego złota, tylko na ludziach! Na ludziach ludzko patrzących z wyjątkimi ludzkimi oczami spod żołnierskich czapek. Po prostu ubrana w mundury kategoria tych walczących z hitlerizmem, a więc siłą rzeczy nie podpadających w orbitę jego działania. Po prostu Czerwona Armia!

Teraz chcę „zrobić“ tamte powieści, wielokrotnie zaczynane i palone w piecu w obawie przed najściem SS-manów. Szkielety ich odkopałam z ziemi, w puszkach od marmolady.

A przede wszystkim „zrobić“ tę trzecią, którą nazwałam od początku: „Piotr i Maria“.

Helena Boguszewska

SPÓLNOTA

Początek wojny zastał mnie przy pracy nad powieściowym cyklem o Cyganach — już zdążyłam jako tako nauczyć się ich języka i związać sporo znajomości w ich świecie. Na Grochowie i na Wygodzie miałam kilka cygańskich rodzin, które odwiedzałam — czytałam im ich własne baśnie ze zbioru Kopernickiego i śpiewałam im cygańskie słowa

pieśni, do których dobieierałem melodie. Ze swej strony Cyganie opowiadali mi wiele — narazie o świecie dookólnym, na który patrzyliśmy wspólnie a widzieliśmy tak zupełnie inaczej — pod koniec zdołałem jednak wyczekać cierpliwie na nagłe otwarcie źródła zwierzeń, wtajemniczeń, w niezapomniany widok ich własnego życia, ich prawdziwych myśli o Cygaństwie. Temu okresowi, który ciągnął się z przerwami do wiosny 1941 roku, zawdzięczam sporo stronice prozy powieściowej, sprawiającej mi dzisiaj jeszcze radość gdy przeglądam — bolesną radość wspomnień, których życie nigdy nie powróci, zdławione, deptane razem z życiem moich cygańskich przyjaciół, poległych męczeńską śmiercią w obozach zniszczenia. Szczególnie boleję nad śmiercią małej dziewczyneczki, Selencji Czori, zresztą chorej na paraliż dziecięcy, przy której posłaniu przesiedziałem wiele godzin czarowania twórczego smutku.

Badanie rozmaitych środowisk społecznych, co zacząłem uprawiać jeszcze na parę lat przed założeniem „Przedmieścia“ — światy włóczęgów, krawców, strycharzy, wodniaków, murarzy, Cyganów, dzieci — wytworzyło we mnie nałóg jakby zawodowy uwagi skierowanej na zewnątrz. Następnie lata wojny spędzone w ukryciu na wsi dały mi pod tym względem bogate osiągnięcia z życia drzew i zwierząt. Znowu bolesna radość wspomnień — nie żyją moje zwierzęta, nie żyją moje drzewa, zabite wojną równie okrutnie jak przyjaciele Cyganie.

Na własne oczy nie widziałem wiele krwawych okropności wojennych, choć sam w niemieckich rękach byłem siedem razy. Gdy dziś przeglądam moje pamiętniki pisane codziennie, stwierdzam z przykrością, że wprawdzie praca nad „Polonezem“ przygotowała mnie, a więc niejako uzbroiła wewnętrznie na przyjęcie groźnej prawdy o Niemcach, to jednak równocześnie nie dowiedziałam się o polskiej grozy w tej wojnie. Wiele z polskich odruchów zaskoczyło mnie najzupełniej.

Tak więc dochodzę do drugich nurtów i motorów mej twórczości — do planowych rozmyślań. Pod tym względem zastała mnie wojna rozkochanego w badaniach, już wówczas dwuletnich, które bym nazwał krótko psychosocjologią różnych pór życia ludzkiego. Nie porzuciłem tych moich rozmyślań, jednak z natury rzeczy zapuszczają się one coraz bardziej w społeczne i polityczne okolice dziejowego sensu czy bezsensu mojego narodu. Pod tym względem winszuję sobie, że ani na chwilę nie pozwoiliłem sobie widzieć mej Ojczyzny w postaci Chrystusa Narodów, ani mego miasta jako Chusty Weroniki... Natomiast bardzo długo były mi rozmyślenia czarną kapielą pesymizmu — rzeczywistość polską, już po wyłączeniu wszelkich okropności niemieckich widziałem samą przez się tak straszliwie okropną, że wszelkie myślenie o niej stawało się udręką nie do zniesienia.

Pewną pociechą była mi książka Piotra Kropotkina o rewolucji francuskiej, a potem i coraz bardziej, inne prace tego pisarza, na czele z biograficzną „Autour d'une vie“. Ale zupełnie od tego niezależnie, bo jeszcze przed wojną, z jednego zdania w „Idiocie“ Dostojewskiego — „ja byłem szczęśliwy inaczej“... — zrodziła się, by coraz mocniej rozrastać się we mnie, filozofia różnych możliwości, tkwiących w każdym z nas — dialektyka wyboru, gdzie „muszę coś wybrać“ spleta się nierozdzielnie z „mogę wybrać tak, albo inaczej“... Z mijaniem pór roku, z przeciąganiem lat, rozumiałem coraz pełniej i coraz wyraźniej, że człowieka nie należy rozważać takim jakim jest, lecz takim jakim może być. Stąd inne pojęcie prawdy o wszystkim, dynamiczne i twórcze, które, ostatecznie i mnie uratowało od najgorszych myśli, bo łącznie z samobójstwem.

Przed samym wyzwoleniem przez Armię Czerwoną, dzięki lekturze greckiej, zapędziłem się w dziedzinę filozofii dzielności, pojętej jednak nie jednostkowo, lecz zespołowo, gromadnie, której to filozofii zawdzięczam ostatecznie zrozumienie zagadnienia socjalizacji życia, jako sprawy najpierwszej naszych czasów. W książce Mysłakowskiego znalazłem słowo długo szukane i w książkach i w sobie, a które ostatecznie stało się tematem moich codziennych rozmyślań przed snem — słowo **Spółnota**.

Ponieważ postanowiłem sobie, w wypadku gdy ocaleję, opracować życie któregoś z bliższych mi rodaków, którzy nie doczekali końca niewoli niemieckiej, przeto niedługo po przybyciu do Lublina zacząłem zbierać materiały do „Słowa o Henryku Dembińskim“. Praca ta była trudna, bo znałem i pokochałem Dembińskiego tylko z nielicznych artykułów w „Po prostu“. Praca ta była dla mnie prawdziwą rozkoszą, dając mi możliwość obcowania twórczego z takim żywością i mocą dzielnej, z takim szczytem piękności całego życia, jak ten promienny bohater naszej rzeczywistości. Rzeczą tę skończyłem pisać przed kilkoma dniami, to znaczy w Krakowie w marcu 1945 roku.

Jerzy Kornacki

ODPOWIEDZ NA ANKIETE

Nim odpowiem na ankietę chcę tutaj choćby w najprostszym słowach wypowiedzieć radość. Radość z tego, że po tylu i takich okropnych latach przymusowego milczenia, gdy przecież wszystko dokoła nas domagało się nie tylko słów pisanych, ale drukowanego krzyku, krzyku w cały świat!... Ze po tym bez żadnej miary trwającym i ciągnącym się czasie podłej i upadającej niewoli nagle i w całej pełni możemy mówić, pisać, drukować! Porozumiewać się ze słuchaczem i z czytelnikiem, z tym przyjacielem wruszająco po-wolnym nam, a jednocześnie przecież tak cudownie opornym, jakim jest każdy słuchacz i czytelnik... Ze możemy oto wypowiedzieć wszystko szczerze, jawnie, otwarcie, w świetle dnia, na łamach pisma, naszego pisma.

„Rzeczywistość wojenna widziana oczami już wyzwolonymi“... Wyzwolonymi?... Czy zupełnie wyzwolonymi?... Czy nie snują się jeszcze między źrenicami, szeroko chłonącymi światło a samym źródłem światła jadowne, mętne resztki cyklonowej mgły, przez którą przedzieraliśmy się dzień po dniu przez te całe, bez miary długie, nad wszelką miarę okrutnie doświadczające nas lata?

Nie tak to łatwo wyzwolić się od duszącej zmyły, od wojny-polipa, której potworne, ruchliwe i chwytność wślizgnęły się zarówno do mieszkań naszych, jak i do naszych serc i mózgów. Przecież ta gigantyczna mąta opłotała sobą i wessała w siebie całe nasze istnienie.

A dziś? Dziś liczy się tylko to Niewiele, co potrafiłoby w sobie samych wydrzeć z jej macek. Jest to może, nawet z pewnością, mało, ale jakże cenne, skoro oparło się w nas ni-szczycielskiej mocy. Tym cenniejsze, że jest załączkiem nowych pragnień, nowych sił, nowych poczynań i nowych, lepszych osiągnięć.

Czymże bo była tak bliska jeszcze i w czasie i w czuciu rzeczywistości wojenna?

Nie oszukujmy się. Ani też się nie ludźmy. Nie była ona niczym innym, tylko nasileniem tego, co tkwiło i tkwi w ludzkości poprzez wieki kształtowania się istoty czelkowskiej, opornej i zawilego przekształcenia się jej w człowieka.

Bestia ludzka przytąjona w ciemnych jaskiniach podświadomości, a trzymana na uwierzy przez nakazy religijne, moralne i społeczne, zyskała nagle w naszych czasach pełne szanse wyswobodzenia się i wyżycia się.

„Być bestią — to być nadczłowiekiem“ — oto co obwieszczono ludzkiemu światu. I świat skorzystał z tego skwapliwie.

Rozbestwili się nie tylko apostołowie bestialstwa — Niemcy.

Dym z pieców krematoryjnych spowijał przeżerającym wyziewem nie tylko katów w obozach zniszczenia, ale i nas, którzy wszyscy znaleźliśmy się w jego gryzącej mocy.

Czad, unoszący się z płonącego ghetta, zamroczył nie tylko jasnobłond głowy herrenvolku.

Złote zęby, niemiecką pięścią wybijane z żywych szczęk i wyrwane z trupich czaszek, przechodziły przez wiele „czystych“ rąk ludzi „uczciwie“ zarabiających na swój wojenny chleb.

Wargi kata i neutralnego świadka katowni (który zresztą często sam z kolei stawał się ofiarą) nie rzadko spotykały się na brzegu szklanki z tym samym bimbrem.

Warszawy nie podpalili Niemcy dopiero w pierwszym, sierpniowym dniu powstania.

Warszawa zaczęła palić się o tej, daleko wstecz, godzinie, gdy Niemcy podpalili pierwszy dom za murem, oddzielającym ghetto od polskiej dzielnicy miasta.

...Gdyż, jak nie istnieje próżnia w przyrodzie, tak nie istnieje odosobnienie zło.

Udział w rozbieraniu dóbr pożydowskich i potem, inny udział, choć zrozumiały i usprawiedliwiony udział w korzystaniu z dóbr po-niemieckich, chociaż tak w zasadzie swojej różnie, są w końcowej konsekwencji ogniwa-mi tego samego łańcucha, odciskającego na duszach piętno raubritterstwa. Gdyż chciwość jednostki zawsze gotowa jest przekraczać granice sprawiedliwości pod hasłem sprawiedliwego przykazania „oko za oko, ząb za ząb“.

Ale najczęstszym wciąż jeszcze i — najgorszym przekroczeniem granicy człowieczeństwa jest nienawiść. Najgorszym — nie dla nienawidzonego, ale dla tego, który nienawidzi. Ze zaś wpływa ona dziś z pobudek w gruncie swym szlachetnych, tedy jest najgorszą, bo jawnie rozprzestrzeniającą się zarazą, jaka poraża ludzkie dusze.

Któż jednak nie pragnie dziś wyżyć się w nienawiści, skoro tak łatwo może ją realizować na rachunek miłości? Miłości własnej najbliższej ojczyzny i ojczyzny dalszej, szerszej: nowego, wspaniałego, bo lepszego świata.

Aby być sprawiedliwym, trzeba powiedzieć, iż nie tylko w nienawiści — wyżywalimy się także przez czas wojny i w bohaterstwie.

Czy może być coś bardziej wartościowego niż bohaterstwo? A jednak... Jednak nie jest to wcale sprawa prosta.

Bowiem w czasie niewoli bohaterstwo nasze występowało w czynach iście nadludzkich,

ośniewiających, ale — powiedzmy otwarcie — były to często czyny jednorazowe, powiedziano-bym... „krótkofalowe“. Wynikały nie zawsze z heroicznej postawy wobec życia, ale raczej z niedoceniania życia i pochopnej pogardy śmierci. To były cudowne wybuchy lirycznego uniesienia. To grał przysłówiowy, wspaniały polski temperament.

Raz jeszcze i to młode pokolenie, jak tyle już młodych pokoleń, jak każde prawie młode pokolenie w Polsce, wyszafowało hojnie swoją krew, nie mierząc jej, ani jej ceniąc, ani dbając o to, że siła hazardu śmierci jest sła-bością życia, zaprzeczeniem jego bohaterskiego trwania. Młodość całą swą istotą rwie się do tego nęcącego, groźnego płomienia, w którym, jasniejąc chwilę, spopiela się i ginie. I to jest błogosławieństwo, ale i tragizm młodości.

Lecz kierownictwu dojrzałemu nie wolno oślepieć się tym blaskiem, ono musi widzieć jasno los pokolenia i nie marnować żadnej z tak drogocennych sił młodości.

Nie zapominając ani na chwilę o iście termopoliowej walce podziemnej i powstańczej, pamiętając o heroicznej walce frontowej, trzeba nam twarz odwrócić od złądy ku życiu, ku jego twórczości.

Nadmierne uwielbienie śmierci (do czego my Polacy szczególnie jesteśmy skłonni przez naszą historię martyrologiczną) niezdrową mgłą może przesłonić nam nowe życie.

Jednorazową ofiarą życia zwalnając się z wszelkich hamulców moralnych, zatracamy ośnieni w błyskawicznym obliczu śmierci hierarchię realnych wartości i ocen, ponieważ zdaje się nam, że ona już sama ostatecznie i dostatecznie reguluje wszystko.

Rzeczywistość wojenna jeszcze inne zła pozostawia nam w spadku: konieczność długotrwałej konspiracyjnego działania głęboko zniekształca nas i oto tu i ówdzie kołace się wciąż jeszcze w wolnej już Polsce niechęć do działania w świetle dziennym, a jednocześnie plenią się upiorne pozostałości skłonności dyktatorskich. Na szczęście nie jest tego wiele, ale już samo to, że jest, budzi czujność i skłania pisarza do zastanowienia się nad sposobami, jakimi ma on działać, aby nie stał się wraz ze swoją twórczością kamieniem zawa-lającym drogę, po której kroczy jego naród w wielkim pochodzie ludzkości, lub aby — z nadmiaru gorliwości — nie był jako ewangeliczna „miedź brząkająca“ i „jako cymbał brzmiąca“.

Redakcja „Odrodzenia“ przez swą ankietę niejako zmusza nas do zdania sprawy sobie samym i czytelnikom naszym z tego, z czym, po pięciu latach grobowego milczenia, wcho-dzimy w odrodzone życie.

Jakże to jednak tak po krótko ująć mam w słowa? Po prostu zamknę chyba w tytułach tylko wysiętek mój z tych lat prawie szczęściu. Tym bardziej, że właściwie zostały mi z całej pracy — tytuły, bo ogień podłożony pod mój dom w Warszawie rękami niemieckich podpalaczy zniszczył wszystkie moje materiały i gotowe już rękopisy.

Tak więc spaliły mi się długo i z trudem zbierane a bardzo rzadkie i cenne materiały do powieści historycznej, której bohaterką jest Sygryda-Swiętosława, córka Mieszka, starsza siostra Bolesława Chrobrego, żona kolejno królów: Szwecji, Norwegii i Danii, matka Kanuta Wielkiego, ciotka węgierskiego świętego Stefana.

Spalił się będący na ukończeniu trzeci tom z cyklu „Matka Judasza“, następujący po „Wędrowce Joanny“ i „Ludziach z wosku“, a noszący tytuł „Miasteczko aniołów“, jak i część czwartego i ostatniego, zatytułowana „W ogniu“.

Spalił się dramat mój współczesny „Ojciec i syn“. Spaliła się książka o bardzo swoistej formie literackiej p. t. „Siloe“, mówiąca o grzechach rasy białej na przestrzeni wieków aż po dzień dzisiejszy. Spaliła się epopea o kulturze Polski (ściślej — o kulturze ludowej).

Ten sam los spotkał również książki moje dla dzieci, a było ich sporo. Więc oprócz licznych, drobniejszych rzeczy, wszystkie przygotowane do druku podreczniki języka polskiego, szkice do podręcznika historii polskiej, bogato ilustrowane baśnie „O warszawskiej Syrence“ i „Rycerze śpiący w Tatrach“, duży cykl opowiadań o dzieciach polskich ze wszystkich warstw społecznych na tle wieków — od małej Świętosławy Mieszkówny poprzez dzieci Wrześni aż do dzieci z Zamojszczyzny.

Spory różaniec klęsk dla pisarza.

Ale cóż — trzeba rozpoczynać prace od nowa. Najprędzej dadzą mi się odbudować dwie rzeczy dla dorosłych czytelników: „Siloe“ i opowieść o kulturze. Te wyda w niedalekim czasie „Czytelnik“, a także parę książek dla dzieci.

Czas tak bardzo zawsze dla mnie cenny, teraz nabrał ceny podwójnej, jak zresztą dla nas wszystkich, pracowników odrodzonej wolnej Ojczyzny, którym próżnować ni opieszalić się nie wolno. Gdyż czas nasz jest „czasem młodości“ — nie tylko młodego pokolenia, które tworzy nowe wartości, ale i przede wszystkim młodych, świeżo a świadomie do społecznego życia wstępujących najszerzych warstw narodu.

Młodość zaś wymaga tempa. Ona je nadaje światu i jego wszelkim sprawom.

Ewa Szelburg-Zarembina

Przegląd prasy

Nowopowstałe w Krakowie społeczno-kulturalne pismo katolickie „Tygodnik Powszechny” w artykule pt.: „Ku katolickiej Polsce”, określa ideał państwa w następujących słowach:

„... jeśli jest jakiś etyczny sens państwa, to tylko ten, by umożliwiałoby pełny rozwój ludzkiej osobie, szanującej społeczny związek z państwem.”

Dotychczasową drogę ku temu ideałowi autor przedstawia jako:

„... próbowanie samych skrajności: indywidualizmu, który chce wielości, lecz odrzuca jedność, — totalizmu uniwersalistycznego, który przyjmuje jedność, lecz odrzuca wielość. Może niedość jeszcze było tych chybionych prób ustrojowych. Może jeszcze jakieś nowe nas czekają. W końcu jednak znajdziemy właściwe rozwiązanie, bo jest oczywiste, a ludzie nie są ślepi.”

Sformułowanie szczególne. Być może, iż Kościół z perspektywy swych 19-tu wieków istnienia ma swą miarę czasu i cierpliwość, jakiej nie posiada czytelnik, dla którego pięć czy pięćset lat owych chybionych prób ustrojowych stanowi dość znaczną różnicę. Fakt, że ludzie nie są ślepi — to zbyt mało, aby wiązać z tym nadzieje szybkiej realizacji owego ideału, który przecież tylko własnym trudem i walką można przybliżyć. Każda próba ustrojowa okaże się chybną, jeśli społeczeństwo nie porzuci postawy pasywnej i fatalistycznej, od której, niestety, autor nie jest wolny. Inaczej „właściwe rozwiązanie” nie nastąpi nigdy.

W tym samym numerze Władysław Konopczyński w artykule pt.: „Ratujmy historię” rzuca trzeźwą myśl, aby:

„... zbierać, utrzymywać ślady i szcztaki źródeł spalonych w postaci notatek i kopii, jakie sobie robił każdy badacz, pracując w bibliotekach Krasieńskich, Zamojskich, Przeździeckich, Narodowej i Uniwersyteckiej warszawskiej, w Bibliotece Raczyńskich w Poznaniu, tudzież w zniszczonych archiwach. Powstanie stąd kolekcja dość znaczna i powinny się znaleźć środki na jej wykończenie i utrwalenie.”

Pomysł godny poparcia i rozpowszechnienia. Jedno tylko sprostowanie. Biblioteka Uniwersytecka i Narodowa w Warszawie nie uległy zniszczeniu, jakby to można było wnioskować z zestawienia autora.

„Dziennik Zachodni”, pismo wydawane w Katowicach, stanowi najmowniejszą kronikę pierwszych dni odradzającego się państwa. Treść artykułów cechuje realizm zagadnień: „Prace nad rozwiązaniem kwestii mieszkaniowej”, „Wznowienie wypłaty zaopatrzenia”, „Jakie będą przydziały”, „Nawóz sztucznych starczy dla całej Polski”, „Pierwszy odlew w Hucie Zgoda”. Felietonista „Dziennika” w rubryce „Pod włos” ujawnia się również, jako zwolennik tego stosunku do rzeczywistości, wykpiwając na Śląsku pod nazwą „detologii” to, co w Krakowie autor „Przejażdżek literackich” nazwał „słowolejstwem”.

„Z nikogo nie kępiemy z tego powodu, że nie umie on czy nie potrafi poprawnie wyrażać się po polsku, ale z tego, że nadużywa wielkich słów przy omawianiu spraw zupełnie niewspółmiernych z omawianym tematem. Jest to typowy wypadek t. zw. „detologii”.

W tymże piśmie Edmund Osmańczyk, omawiając „Sprawy najistotniejsze”, pisze: „Śląsk Opolski nie jest kopaliną dla poszukawczy złota. Kraj jest przez działania wojenne i słynną niemiecką gospodarkę wyniszczony, wybrany do dna. Kto tam idzie pracować, ten korzyści osobistych mieć nie będzie... Na to wszystko potrzeba ludzi rzutkich, zdecydowanych, nie bojących się dwudziestogodzinnego dnia pracy w warunkach najcięższych, najtrudniejszych. To jest ziemia dla silnych energii. To, że w takiej pracy odpadną słabsi, nie martwi nas. Nad Odrą tych, co się boją trudu i własnego potu, nie trzeba. Oni nie robią historii.”

Ten sam autor w kolumnie literackiej „Dziennika Zachodniego” zwraca się w wierszu do Ziemi Opolskiej:

„A ziemię tę roztrworzę, by wszyscy widzieli, Czyje w tobie tkwi ziarno — a co pustym kłosem. I poprzez krzyk cudzej buńczucznej niedzieli Dzień powszedni słowami polskimi rozgłoszę.”

Podobna tematyka w wierszach innych śląskich poetów: Baranowicza („Opolskie”) i Szewczyka („Odra”). Prosta wersyfikacja, żarliwe przywiązanie do ziemi i miasta śląskiego. Wilhelm Szewczyk, syn górnik z Czerwonki, przedstawiciel młodej generacji poetów śląskich, pisze:

„Pod Raciborzem wiatry wody nie wyczerpią, ani bruk kędzierzyski tyle jej nie wessie, ile jej trzeba, aby umyć z krwi ulice w każdej wsi opolskiej i mieście.”

Tamże, w artykule „Pisarze ziemi Opolskiej” Zdzisław Hierowski skarży się na zaniedbanie przez historię literatury polskiej — twórczości pisarzy śląskich i daje jej krótką charakterystykę od Józefa Lompy i Norberta Bończyka do współczesnego Edmunda Osmańczyka:

„Walka o społeczne i narodowe prawa Ślązaków wytworzyła literaturę. Z niej powstała ta jedyna w swoim rodzaju literatura dla robotnika i chłopca, literatura stworzona przez inteligentów z pierwszego pokolenia, synów śląskiej wsi i śląskich osad robotniczych.”

Ten ludowy charakter wyodrębnia literaturę śląską w całości obrazu literatury polskiej i stanowi przyczynę, że traktowana jest ona lekceważąco i bez większego zainteresowania przez historyków i krytyków literatury.”

W wolnej trybunie czytelników „Rzeczpospolitej” zamieścił swe spostrzeżenia na temat demokratyzacji nauki polskiej dr J. L. Czyżak:

„Droga do katedry profesorskiej prowadziła (przed r. 1939) przez następujące stopnie: 1) magisterium, 2) doktorat, 3) habilitację (na docenta) poprzedzoną asystenturą... i dopiero docent mógł marzyć o profesurze. Jeśli był grzeszny i w poglądach mocno zgodny z profesorem „swego” przedmiotu — to często katedrę profesorską otrzymał szybko. W przeciwnym razie pan docent był przez długie lata „mierzalnym naukowcem”, płytkim przyczyniarzem i zarabiał trzysta złotych, t. j. czwartą część uposażenia profesora zwyczajnego, i przyszość miał beznadziejną, choć często dobiegał pięćdziesiątki i pracował naukowo ćwierć wieku... Nic też dziwnego, że w tych warunkach wytworzył się odrębny „świat profesorów”, zamknięte i niedostępne grono, wyższe o wszystkie stopnie własnej zarozumiałości od otoczenia, od społeczeństwa, od własnego narodu.”

Wydaje się zrozumiałe, że wobec wielkich strat, jakie odniosła nauka polska w czasie okupacji, tę krzyżową drogę do katedry należy ułatwić i skrócić. Wydaje się zrozumiałe — ale nie dla wszystkich. Na wydziale lekarskim jednej z wyższych uczelni polskich w marcu r. 1945, odmówiono uznania absolutorium, uzyskanego na innej uczelni, motywując to tym, że jeden z podpisanych w indeksie egzaminatorów został volksdeutschem w czasie okupacji.

ARTUR MARYA SWINARSKI

Perpetuum mobile

(Utwór profilaktyczny)

Wszystko będzie jak było po tamtej wojnie... Wkrótce świat się znów zafrasuje łzami I zacznie rzewne ofiary nagradzać hojnie Za erzace, posty i brak witamin.

Radzi ciocia Ymca z wujaszkiem Tomem; Tworzą się misje, komisje i komitety; Biały Krzyż układa się z Krzyżem Czerwonym; Dewotki wrzeszczą chórem „gwaltu” i „rely”

Pakują biblie, ryż, rodzyнки i smalec, Szynki, dżem, czekoladę, kakao i figi. Nad drutem z pończochą mdleje mumiowy palec Podstarzałych kwok z dobroczynnej ligi.

I gdy tylko rozsypane Trzecia Rzesza, Z chustką do otarcia łez pospieszy, Z sercem złotem i z ręką, co wszystko rozgrzesza, Bogobojny Ilum na gruz Trzeciej Rzeszy.

Za ogonki, erzace i brak kaloryj, Za głodówek kwarantanny długie Przyjdą poić bękartów niemieckiej historii, Przyjdą koić chudą Hitlerjugend.

Dla małych Frycków mają po puszcze mleka, W tamtej puszcze szynka, w tej ananasy — (Oświęcimskie menu: chleba dziesięć deka I kubek lury... Dawne to, ciemne czasy!)

Dalej autor spostrzega, że:

„... mimo wysokiego poziomu nauki polskiej... nie wszystko w tej nauce było dobre. Z jednej strony zamknięte grono profesorów, z drugiej — rzesze studentów z warstw bogatszych, narzucające często siłą (pałką) swe poglądy profesorom, oto objawy niezdrowych stosunków na terenie nauki polskiej.”

Nawiązując do tych „niezdrowych stosunków”, warto zauważyć, że w r. 1945 pełnią w wielu wypadkach funkcje rektorów czy dziekanów profesorowie, za których kadencji weszło w życie osławione ghetto ławkowe w r. 1938.

Również w „Rzeczpospolitej” Jerzy Wyszomirski kończy krótki szkic o Aleksym Tołstojem cytatem zmarłego pisarza, godnym uwagi tych teoretyków, którzy pragną ustalić drogi i kierunek rozwoju obecnej i przyszłej literatury polskiej:

„Materializacja idei, zdobycie świata fizycznego przez świat idei — oto zadanie nadchodzących czasów. Realność to kupa paliwa, idee to iskry. Te dwa światy połączone dotychczas w wrocie, muszą się złączyć w płomieniu przewrotu światowego.”

Numer trzeci „Szpilek” budzi niepokój o przyszłość satyry polskiej. Nowych nazwisk nie widać, stare nie zawsze piszą celnie. We fraszkach królują kalambusy, z którymi najwyższy czas byłby się rozstać, bo na dowcipach w rodzaju: „roattuj się kto może”, lub „ty p-ośle dardanelski” niedaleko się zajadzie. Zbyt dużo znanych anegdot wojennych i łatwych pomysłów politycznych. W sumie — i tym razem najlepszą kolumną w numerze pozostała „Skarbica satyry polskiej”, z której cytujemy fraszkę Jana Kochanowskiego: „Wszyscy ludzie, którzy cię za żywota znali, Siła o twych pieniądzech, Sobiechu, trzymali, Alem ja tego doznał w twej własnej potrzebie, Ze nie tyś miał pieniądze, one miały ciebie.”

(kb)

„Dzieci niewinne!” — pięć chóry puskarek. „Niemcy to także ludzie!” — gęga stado. „Zobaczcie, jak nam odżyją, żarem Serc rozgrzane, tudzież czekoladę...”

Zobaczyciel... Jeśli w was nie trzaśnie Przedtem żywy ogień niczym z haubicy. Zobaczycie, kiedy załal pięćnaście Z małych Frycków będą duże Frycel

Jak rewizytę złożyć przyjdą i rewanż Za to serce, które im serca odgrzało, Za refrenik: „absolvel”, za hasło: „przebacz!” Podziękują ludziej za kakao.

Jak tą nóżką na waszym smalcu wyrosła, Kopną gracko w dobroczynny kuperek. Jak tą piąstką, wprawną w ojcowskie serosio, Zbiją buziaki humanitarnych frajerek.

Jak Europę głupią, ślepą i głuchą Brzuchem tanków na maź i łajno rozjadą Biedni chłopcy, dokarmiani juchą Serc subtelnych, tudzież czekoladę...

Koniec pieśni. Ktoś zawoła mi: „Holal Chcesz sprowadzić rzeź niewiniątek, Herodzie!” Miem tylko tyle: wiersz ten napisał Polak, Mściwy i zły, ale Polak — mądry po szkodziu.

Mieszani

Niedawno po raz pierwszy w życiu leciałem samolotem. Nie jestem człowiekiem zafocanym. Lubię postęp, tak w dziedzinie czynu, jak myśli; lubię gaz, elektryczność, telefon, czy inne wynalazki stulecia, służące do zmniejszenia oporu w pokonywaniu trudności dnia. Ale jazdy samolotem nie mogłem polubić. Nie jest to felieton przeciwlotniczy. Broń Boże! Pochwalam bohaterstwo bohaterów przestworzy, z podziwem i zachwytem patrzę z ziemi na błękitne wyprawy, do których człowiek namówił maszynę, wszelako sam mam głębokie przywiązanie do ziemi i w przestworzach czuję się intruzem, czuję się onieśmielony i zakłopotany, niby cudzoziemiec, który znalazł się niespodzianie w obcym kraju, gdzie nie zna obyczajów ani języka. Moment, kiedy samolot nabrawszy rozpędu nie przetrzymuje statyczności ziemi i musi oderwać się od niej, jest cudowny. Czujemy w sobie kosmiczną radość pełnej niezależności wobec wymiarów świata. Pod nami maleją domy, drzewa i ludzie, pola i łąki zmieniają się w szachownice, Ikar śmiało i zuchwale wzbija się w przestworza. Niestety! Upojenie, radość, niezwykłość sytuacji przestrzennej zanikają opadać w miarę, jak wznosi się samolot. Następuje bujanie, związane z tym mdłości i ogarnia znużenie monotonią tego wlotu nad ziemię. Ikar zostaje pokonany nie przez nadmierny blask słońca, lecz przez bujanie i mdłości. Marzy, aby stanąć na twarzym, konkretnym gruncie dokoła ziemskich rekwierytów o naturalnych dla naszego oka wymiarach.

No, ale samolot jest bądź co bądź środkiem transportowym i warto znieść trochę przy-

króci, aby w zamian zyskać na czasie. Gorzej jest, kiedy ludzie zamiast samolotem usiłują wzniesić się w przestworza piórem. Próby tego rodzaju lotów można dziś obserwować przeglądając codzienne i niecodzienne pisma. Coraz natrafiamy na jakiegoś śmiałka, który odrywa się od ziemi i wlatuje w podniebne szlaki, skąd ziemia, ziemskie słowa i ziemskie sprawy układają się w przedziwne i niepokojące wymiary. I tutaj doznajemy, jak w samolocie, bujania i mdłości. Natomiast czasu nie zyskujemy. Nie! Tracimy go za to wiele.

Niewątpliwie wśród tych bohaterów przestworzy wysunął się w ostatnich czasach na pierwsze miejsce mistrz Juliusz Osterwa. Jego artykuł: „I ja tak widzę przyszłą w Polsce sztukę” w pierwszym numerze „Tygodnika Powszechnego”, to potężne bujanie, które przyprawiło nas o wyjątkowo przykre mdłości. Mniejsza już o to, że nie doowiedzieliśmy się, jak ów wybitny piękno-służca widzi przyszłą w Polsce sztukę. Brak tej wizji w naszym życiu kulturalnym da się jakoś wypełnić. Mniejsza też o to, że w ogóle nie można się domyślać, o co temu pracownikowi żywostwoia chodzi. Natomiast oburzyć się musimy, że nasz wsioborca nadużywa polskiej mowy, dziś, w czasach, gdy literatura rzuca hasło odpowiedzialności za słowo. Tę wszystkie nowopotwory językowe, które mistrz Osterwa albo sam wymyślił, albo nauczył się ich od innego mistrza, ośmieszonego literacko jeszcze przed wojną rzeźbiarza Szukalskiego, są świadectwem pożałowania godnej ignorancji ducha i możliwości języka polskiego. Nie mam siły przytaczać szerzej tego steku nonsensów, zresztą należy

raczej zapomnieć o tym wszystkim, niż ponure te widma znów wywoływać. Muszę jedynie wyrazić niepokój, że mistrz pragnie przeczołnić członnictwo aktorskie i upulchnić je. Co do tego drugiego, to wątpię, czy da się zrobić ze względu na bardzo niskie gaże aktorów (dlaczego właściwie, skoro teatry są pełne?), co zaś do pierwszego, to nie uspokoję się, póki się nie dowiem, co to ma oznaczać. Podejrzywam najgorsze i bardzo się martwię o aktorów. Proszę mistrza, żeby żadnych członnictw nie przeczołniał, odpuścił porządnie po napisaniu tego artykułu, i pięknie upulchniony jak najczęściej pokazywał się nam na scenie i nigdy, nigdy nie chwycił więcej za pióro.

Stanisław Dygat

W teatrach paryskich

Po przeszło 4-letniej przerwie życie teatralne Paryża, pomimo wielu zrozumiałych trudności, tętni jednak ożywionym rytmem. Podczas okupacji niemieckiej nieliczne tylko sceny wystawiały, śmiesznie nieraz okrojone przez cenzurę, francuskie tragedie klasyczne. Paru autorów, kompozytorów i reżyserów, jak Sacha Guitry, pianista Cortot, są dziś skompromitowani oskarżeniem o współpracę z Niemcami.

Powodzeniem cieszą się na ogół nowe dzieła, powstałe podczas okupacji, choć tematycznie bynajmniej z wojną nie związane. Do nich należy sztuka François Mauriaka „Les Mal Aimées” w interpretacji aktorów „Comedie Française”. Treścią są konflikty uczuciowe starego prowincjonalnego szlachcica, pana de Virelade i jego egoistycznie „złe kochanych” córek. Jak zwykle u Mauriaka, naturalny pęd jego bohaterów do szczęścia załamuje się w rozpaczliwym poczuciu własnej niemocy. Wydaje się, że nieubłaganym przeznaczeniem ludzi obarczonych piętnem grzechu pierworodnego jest walka między uczuciem rodzinnym, przyjaźnią, miłością a namiętnością i pierwotnymi instynktami. Artyzm Mauriaka kroczy tu tą samą drogą, drogą najbardziej rezygnacji, podobnie jak w ostatniej przedwojennej sztuce „Asmodee”. („Asmodeusz” grany był również w Warszawie w 1939 r.).

Znamienną cechą współczesnej francuskiej twórczości dramatycznej jest chęć zapomnienia, chęć ucieczki od rzeczywistości (t. zw. „theatre d'évasion”). Autorzy szukają natchnienia raczej w starożytności („Agrippa” Barsaka) lub w naiwnej mystyce włoskiego średniowiecza. Ilustracją tego kierunku, zapoczątkowanego w latach międzywojennych przez Henryka Gheon, jest ciekawa próba dwóch powieściopisarzy, René Laporte'a i Marcel Héraut. Temat ich sztuki p. t. „Federigo”, zaczerpnięty został z noweli Merimee'go. Rzecz dzieje się w połowie XV wieku w Toskanii. „Federigo” grany jest na scenie „Théatre des Mathurins”.

7 marca „Théatre Antoine” rozpoczął sezon premierą zabawnej komedii „L'Argot” według filmu Thevenola. Treścią farsy są przygody siedzącego członka palestry prowincjonalnej, który nieoczekiwanie znalazł się w środowisku paryskiej złotej młodzieży. (aw)

Kalendarz kulturalny

W Bibliotece Jagiellońskiej, która jest obecnie jedną zorganizowaną biblioteką naukową w Polsce, uruchomiono na razie tylko czytelnie dla pracowników naukowych, zwłaszcza dla profesorów i docentów, przygotowujących wykłady. Czytelnia ogólna nie jest uruchomiona. Biblioteka wspomaga szereg innych instytucji. W gmachu Biblioteki znalazły gościnę sekretariaty wyższych uczelni krakowskich i zamiejscowych, chwilowo również Akademia Umiejętności.

Słownik Staropolski. Prace nad „Słownikiem Staropolskim” wszczęto jeszcze z końcem XIX w. a pracował nad nim najpierw prof. Baudouin de Courtenay, a po nim objął opracowanie „Słownika” i dźierzył je w ręku aż do swej śmierci w r. 1928 prof. Łoś. Dziesięcioletni okres przed wybuchem obecnej wojny wypełniła praca dra Estreichera, po którym redakcja przeszła w ręce prof. Nitscha. Słownik objął dotychczas zasób wyrazów staropolskich do r. 1500, spisywany z zabytków do około 200 tysięcy kartek. Pozostałe jeszcze do uzupełnienia okres do ukazania się pierwszego druku polskiego t. j. do około roku 1510. Jeżeli warunki ułożą się pomyślnie, „Słownik” mógłby zacząć ukazywać się za dwa lata.

Z inicjatywy Kuratorium Okręgu Szkolnego Krakowskiego odebrano 7 i 8 kwietnia „Dni książki” na terenie całego województwa. Przewidziano są pogadanki w szkołach i świetlicach, odczyty i audycje radiowe, poranek w teatrze im. J. Słowackiego, wystawy książki dawnej i nowej oraz zbiórka książek na rzecz bibliotek szkolnych i publicznych. 25-go marca w Bibliotece Jagiellońskiej odbyło się zebranie nauk-wie Polskiego Towarzystwa Historycznego, na którym prof. Henryk Mościcki wygłosił odczyt „Legende napoleońskiej w Polsce”. Studjo teatralne Starego Teatru w Krakowie rozpoczęło swa działalność artystyczną premierą nowej sztuki Jerzego Zawieyskiego p. t. „Maż doskonały”, która ma stanowić przekrój rzeczywistości i przyżyć narodu polskiego w formie historii biblijnej. Teatr Wojska Polskiego wystąpił 25 marca w Łodzi z porankiem artystyczno-literackim, poświęconym twórczości Pierwszej Armii na terenie Z. S. R. R. Program utworzył Adam Wazyk słowem wstępnym, ilustrowanym wierszami Putramenta-Szenwala, Pasternaka, o historii teatru mówił Władysław Krasnowiecki, po czym nastąpiły pieśni, tańce oraz kompozycje sceniczne, które towarzyszyły żołnierzowi polskiemu w marszu znad Około Wistły.

Władze szkolne utworzyły w Łodzi pierwsze w Polsce Państwowe Gimnazjum i Liceum Humanistyczne, przeznaczone wyłącznie dla dzieci chłop- skich.

Departament Teatralny w Ministerstwie Kultury i Sztuki zapowiada, jako pierwsze zadanie w pracy organizacyjnej, odbudowę gmachów teatralnych, budowę nowych scen, stworzenie teatrów amatorskich wiejskich i miejskich oraz teatrów marionetek.

Stan obecny teatrów w kraju: Kraków — teatr im. J. Słowackiego pod dyrekcją Karola Fryca, Katowice — dyr. Karol Adwentowicz i Wilam Hołdys, Poznań — dyr. Stoma, Bydgoszcz — dyr. Rzedziecki, Lublin — dyr. Antoni Różycki i Paweł Borowski, Łódź — Teatr Wojska Polskiego, dyr. mjr. Krasnowiecki. Poza wymienionymi czynne są teatry w Rzeszowie, Kielcach i Częstochowie.